

ROK IIX.

CENA NUMERU 1.40 gr.

Nr. 19

BLUSZCZ



WARSZAWA, 8 MAJA 1926 ROKU

Bardzo ważne!

Bardzo ważne!

OD ADMINISTRACJI

PROSIMY O UREGULOWANIE ZALEGŁOŚCI W PRENUMERACIE ZA UBIEGŁY MIESIĄC, ORAZ
NADESŁANIE PRENUMERATY ZA MAJ R. B.

PRENUMERATA JEST PŁATNA Z GÓRY!

WSZYSTKIM ZALEGAJĄCYM Z PRENUMERATĄ PO DNIU 8 B. M. DALSZĄ WYSYŁKĘ PISMA
BEZWARUNKOWO WSTRZYMYMY.

Ze względu na to, że z powodów od nas niezależnych wysłane przez nas numery „BLUSZCZU”
giną na poczcie, prosimy, w razie nieotrzymania numeru do soboty każdego tygodnia, natychmiast
wnieść reklamację w odnośnym urzędzie pocztowym. Reklamacyj nie wniesionych do siedmiu dni
od chwili nie otrzymania numeru, uwzględniać nie będziemy.

Baczność Matki!Baczność Matki!

8 MAJA

WYJDZIE Z DRUKU

PIERWSZY NUMER DWUTYGODNIKA

„DZIECKO I MATKA”

Dwutygodnik ten, którego współpracownikami są wybitni lekarze,
pedagodzy oraz specjaliści w wychowaniu dziecka w okresie przed-
szkola, będzie poświęcony sprawom wychowania i zdrowia dziecka
do lat 7-miu (prospekt dołączyliśmy do poprzedniego numeru).

Każdy numer w barwnej okładce, bogato ilustrowany,
z dodatkami t. j. tablicą krojów ubrań dziecięcych, względnie kro-
jami bibułkowymi **kosztować będzie pojedynczo 60**
gr.; w prenumeracie miesięcznej z przesyłką —
tylko 50 gr.; kwartalnej — 45 groszy.

Najlepiej przesłać prenumeratę kwartalną w kwocie 2 zł. 70 gr. lub
ostatecznie miesięczną w kwocie 1 zł. czekiem P. K. O. Nr. 12.900.
Numery okazowe wysyłać będziemy po nadesłaniu znaczków poczt-
towych za 50 gr. do

Administracji „DZIECKA i MATKI”

Warszawa, Krakowskie Przedmieście. 99.

Czek P. K. O. dołączyliśmy
do Nr. 18 „Bluszczu”.



ROK LIX

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 8 MAJA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Groźne widmo przyszłości—*H. Ceysingerówna*. Młodzież i starsi—*C. Walewska*. Wojna zabawek—*I. Or.* Marja Dąbrowska i „Ludzie stamtąd”—*Wanda Borudzka*. Wiersze: „Świętych obcowanie”—*I. K. Illakowicz*. Herezje wiosenne—*Felicja Kruszczyńska*. Przemarsz ułanów—*Marja Dunin-Kozicka*. W godzinie myszy (dokończenie)—*Max Douthendoy* (tłum. *Z. Rabska*). Krystyna Rossetti (c. d.)—*Z. Reutt-Witkowska*. Córka Boga (c. d.)—*Z. Zawiszanka*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Z wystawy obrazów w Krakowie—*Jadwiga Tomicka*. Z teatrów—*Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Haft rafią. Karnawał zielony—*Well. N.* Historia rękawiczki—*Spero*. Jemu i jej—*N-ska*. Najważniejsze wskazówki tenisowe dla początkujących—*M.* Parę słów o molach. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jaremką i Hamlet” (kronika zdarzeń z życia pewnego chłopca, jego psa i prowincjonalnego miasta (c. d.)—*Hugh Walpole* (tłum. z angielskiego *Irena Wasutyńska*). ARKUSZ WZORÓW.

GROŻNE WIDMO PRZYSZŁOŚCI



tóregoś wiosennego poranku, w niedzielę chmura żółtawego dymu podniosła się na prawym brzegu Wisły i przesłoniła Pragę. Spychał te dymy wiatr przeciwny, odsłaniając od czasu do czasu szczyty wież i wierzchołki domów wsławionego tragicznym swym

łosem przedmieścia.

Było to w roku bieżącym, miesiącu marcu; więc nie opowiadam wam starych jakowychś dziejów.

— Pożar, pytali niewtajemniczeni, ale inni uśmiechali się ironicznie.

— Pokaz przeciwgazowy. Tłumy publiczności uprzedzone przez prasę, obserwowały po obu brzegach rzeki przebieg eksperymentu.

Zadanie polegało na ukazaniu widzom, jak przy pomocy zasłony gazowej odgrodzić się można od nieprzyjaciela, by poza tą zasłoną dokonać np. przegrupowania sił, lub nie dopuścić do celnego ostrzeliwania danego obiektu.

Doświadczenie nie było niebezpieczne, gaz — nieszkodliwy.

Tym efektownym pokazem Towarzystwo obrotu przeciwgazowej rozpoczęło swój tydzień propagandy.

Propaganda nie nawiewała pogodnych myśli. Dotknięciem niepokojącym zimnej ręki trzęsła serca polskie, skłonne już do pacyfistycznych uniesień. Przypominała, że Polska jest, jak była, tarczą cywilizacji przed niszczycielami Wschodu, że na jej

wschodnich granicach kończy się moralne władztwo Ligi Narodów, kończy się pokój świata. Propaganda ta wskazywała nadto, że naród polski przy wykonaniu tego trudnego zadania znajduje się w sytuacji szczególnie niebezpiecznej: między dwoma śmiertelnymi wrogami z dwóch stron.

W ciągu całego tygodnia w różnych dzielnicach miasta fachowi prelegenci uświadamiali masy o groźnym fakcie, iż po obu stronach naszej granicy tajemnicze laboratoria pracują niezmordowanie nad wytwarzaniem straszliwych trucizn, które w ciągu kilkunastu minut atakiem gazowym zamienić mogą miasta nasze w potworne cmentarzyska.

Słuchaczom, obdarzonym trochę imaginacji, nasuwały wykłady te obrazy niewesołe. Bo oto pewnego dnia lekkomyślny szal dancinistów, bezmyślną uciechę kabaretów, plotkarski nastrój kawiarni, zarówno jak twórczą pracę — uczonego i artysty trud — robotnika i nauczyciela przerwać może grom: eskadra samolotów nieprzyjacielskich, wyrzucających na miasto bomby z trującymi gazami.

Najgorszem jest, że to, co mówię, nie należy bynajmniej do świata fantazji, choć brzmi tak nieprawdopodobnie i okrutnie. Przypomnijmy bowiem, jak to było za czasów wielkiej wojny, gdy metoda walki gazowej znajdowała się dopiero u swoich narodzin, nie była doprowadzona jeszcze do dzisiejszej doskonałości.

Pod Ypres 22 kwietnia 1915 r. po 45 minutowym ataku gazowym (żadna inna broń nie była użyta)

na odcinku jednej dywizji padło 12 tysięcy żołnierzy koalicyjnych, czyli 99 procent obsady danego odcinka. Od tego czasu chemicy niemieccy poczynili niewątpliwie na drodze odkryć i wynalazków w tej dziedzinie znakomite postępy

...Ale dlaczego o tem wszystkim piszecie w „Bluszczu” — dlaczego nam i dzieciom naszym odbieracie spokój snów?..

Wojna przyszłości, zdaniem wszystkich powag w tym zakresie, będzie nie wojną armij między sobą, ale wojną narodów, wojną istotnie powszechną. Właściwie najbezpieczniejsze będą armie zaopatrzone w maski i płaszcze przeciwgazowe, oraz wszystkie inne środki walki ze straszliwym niebezpieczeństwem, w walce tej wyszkolone i do niej przygotowane. Największe niebezpieczeństwo grozić będzie ludności cywilnej, zwłaszcza nagromadzonej w wielkich miastach, gdyż te centra siły, ośrodki woli i myśli każdego społeczeństwa przedewszystkiem atakować będzie wróg, by, zabijając je, zabić duszę kraju.

Oto dlatego trzeba o tych rzeczach uświadamiać ludność cywilną, trzeba ją możliwie jak najskuteczniej przygotowywać do obrony.

To też kobietom polskim, znanym z męstwa i patriotyzmu, nie zawahamy się tych groźnych obrazów postawić przed oczy, wzywając je zarazem najgoręcej do udziału w przygotowywanej obronie.

Poza czynnikami wojskowymi, które na swój sposób pracują dla przyszłej wojny, organem społecznym walki z nieuniknionem bodaj widmem przyszłości jest „Towarzystwo Obrony Przeciwgazowej”. Ogarnia ono całe Państwo, tworząc wszędzie Komitety wojewódzkie. Do Komitetów tych należy się zapisywać, składką drobną 50 gr. miesięcznie przyczyniając się do utworzenia funduszu, niezbędnego dla poważnych poczynań tego Towarzystwa.

To pierwszy obowiązek obywatelski, do którego należałoby pociągnąć jak najszersze koła. Gdyby naród nasz doceniał niebezpieczeństwo, o którym mówimy, gdyby je rozumiał, tak, jak być może zrozumie niestety w przyszłości, nie byłoby człowieka, któryby składki tej odmówił. Propaganda więc, uświadamianie jak najszersze — to drugi nakaz naczelnego obywatelskiego sumienia.

Jakie są jednak praktyczne środki zabezpieczenia się przed działaniem zabójczych gazów?

Środków tych właśnie szukać należy. Niewątpliwie pracują nad tem laboratorja wojskowe. Ale zważyć trzeba, że nasz przemysł chemiczny i nasza wiedza chemiczna stoją o wiele stopni niżej od niemieckiej i rosyjskiej, gdzie pierwszorzędne siły naukowe powołano do pracy nad zagadnieniem szkodzenia bliźnim.

W Niemczech setki laboratorjów i tysiące pracowników poświęcają wszystek czas i siły tym badaniom. Polska, nie mając zamiaru atakowania nikogo bezlitosną tą bronią, musi znaleźć czynniki chemiczne, neutralizujące [szkodliwą dzia-

łalność gazowych chmur i gazowych pocisków nieprzyjaciela.

W tym celu Tow. Obrony Przeciwgazowej zakłada Chemiczny Instytut Badawczy. Dzięki pierwszym składkom, a przedewszystkiem darom Polaków amerykańskich, oraz ofiarom różnych miejscowych firm budowlanych można było dn. 10 sierpnia r. ub. przystąpić do budowy Instytutu. Obszerne tereny uzyskano już poprzednio na Żoliborzu, i z amerykańskim rozmachem przystąpiono do dzieła. W ciągu 3-ich miesięcy wybudowano halę żelazno-betonową, murowany budynek laboratoryjny, i całość tę nakryto dachem. Pozostaje jednak dużo jeszcze do zrobienia: cała robota stolarska, szklarska, centralne ogrzewanie, otynkowanie, oraz urządzenie wewnętrzne. Jednym słowem, do uruchomienia Instytutu brak jeszcze 40 tysięcy dolarów. Tych pieniędzy nie da rząd przy swoich obecnych kłopotach budżetowych. Na ofiarę tę zdobyć się musi społeczeństwo w rozumnym przewidywaniu możliwych i kto wie czy dalekich gróź wojennych, oraz w słusznym ocenie niu pożytków gospodarczych, jakie Badawczy Instytut Chemiczny przynieść nam może.

Olbrzymią część swego gospodarczego rozwoju zawdzięczają Niemcy właśnie swoim laboratorjom chemicznym. I w tym względzie Polska iść musi w ich ślady. Nie brak nam odpowiednich sił. Kierownictwo Instytutu objąć przyobiecał prof Ignacy Mościcki, dyrektor generalny zakładów chemicznych w Chorzowie, siła pierwszorzędnej wartości naukowej i badawczej. Młodych chemików, którzy pod jego kierownictwem z pożytkiem i chlubą dla nauki polskiej pracować będą, mamy pod dostatkiem.

Poza budową Instytutu, który stać się ma podwalną naszego przemysłu chemicznego i gospodarczego odrodzenia, ważną rzeczą jest zaznajamianie jak najszerszych kół z ratownictwem przeciwgazowym, tworzenie drużyn ratowniczych, umiejętność zastosowania takich przyrządów ochronnych, jak maski i t. d. i t. d.

Wszystko to powinni umieć nie tylko żołnierze i sanitariusze, ale i ludność cywilna.

Oczywista, dodawać nie potrzeba, że czynnikiem równorzędnym w tych sprawach jest rozwój lotnictwa i że lotnictwo i wszystkie organizacje społeczne, pracujące dla lotnictwa otaczać należy najgorętszą opieką i nieść im pomoc na każdym kroku.

Lotnika nieprzyjacielskiego, niosącego w swych przyrządach śmierć naszym miastom i wioskom tylko lotnik polski unieszkodliwić może.

Łączą się więc ze sobą bezpośrednio wysiłki ludzi, pracujących nad rozwojem lotnictwa i nad rozwojem przemysłu chemicznego.

Oba te czynniki mieć będą w przyszłości decydujący głos w sprawie naszej egzystencji państwowej i narodowej*).

H. Caysingerówna.

*) Biuro Komitetu Obrony Przeciwgazowej na Warszawę i województwo, Warszawskie mieści się przy ul. Nowogrodzkiej 16

MŁODZIEŻ A STARSI



harcerze dają znać o sobie. Po raz drugi już w krótkim czasie urządzają wystawę, stwierdzając stały i wybitny rozwój ich organizacji. Ostatnie pokazy obejmowały przede wszystkim modele obozów drużyn warszawskich. W dwóch salach rozmieszczono wzory miniaturowych namiotów, wykonanych bardzo misternie z drobiazgową starannością. Stoją sobie pośród lasów na szmaragdowych trawnikach w otoczeniu soczystej przyrody, którą rozkoszuje się młodzież harcerska przez czas wakacyjnej letnich.

Jeden pokój przeznaczony był wyłącznie na zbiory przyrodnicze, gromadzone z widocznym zamiłowaniem i umiejętnością. Owady, niestety nadziane na zbrodnicze szpilki, drobne żyjątka w spirytusie, ptaki wypchane, zielniki, pełne zasuszonych starannie roślin, świadczyły o pracowitości drużyn.

W innych salach, obok własnoręcznych wyrobów harcerskich bądź zdobniczych, bądź do użytku codziennego, zwracały uwagę zeszyty z kronikami obozowymi i albumy z fotografiami. Niektóre zdjęcia krajobrazów, zabaw sportowych, wycieczek, czynności w obozach odznaczały się wielką precyzją i smakiem artystycznym. Na ścianach tablice graficzne i statystyczne obrazujące stan liczbowy, działalność, długość trwania obozów, ilość harcerzy w stosunku do lat ubiegłych, poczynając od 1921 r. Cyfry wykazały stały wzrost obozów, dochodząc w 1925 r. do rekordowej liczby 489 harcerek i 990 harcerzy, obowiązujących w różnych stronach.

Zdumiewa i raduje ogrom zabiegliwości, pracy, sumiennego wytrwania na stanowisku, wywiązywania się z podjętych zadań i ukochania przyrody, jakim tchnie całokształt życia w obozach. Wzbiera nadzieja, że tworzy się kościół w galaretowatej, chwiejnej, opieszalej, gnuśnej masie społeczeństwa naszego. Że powstaje wola i możliwość zbiorowego czynu. Że teżże uciążliwość trudu roboczego i poczucie odpowiedzialności za podjęte obowiązki. Że budzi się uczciwość, sumiennosc, zmiecionie z powierzchni świata przez wojnę. Wstępuje otucha. Śmielej, odważniej patrzmy w przyszłość. Ale czy tak czuje i myśli ogół? Czy dostatecznie ocenia wysiłki naszych zuchów. Czy śledzi je? Czy dąży za tętnem i porywem serc, dusz młodzieńczych?

Otwarcia wystawy dokonano w obecności gremjum, poważnych, wypróbowanych opiekunów, opiekunek i przyjaciół harcerstwa. Lecz w godzinę potem już prawie nie było nikogo ze starszych. Dwóch, trzech, mężczyzn w sile wieku zaledwie. Z tych jeden fanatyk, przekonywał pozostałych, że w harcerstwie przyszłość narodu. Oburzał się na bandy rozwałęsaných po mieście w bezplanowej włóczędze chłopaków.

— Wszystkie szkoły, męskie, żeńskie, winny być jednym obozowiskiem harcerskim. Wtedy dopiero stanęłaby Polska. Ale, kto dba o to? Kto interesuje się tem, co już zrobione? Garstka czynnych protektorów i opiekunek... kropla w morzu...

Pan w sile wieku rachał rękami, piorunował. Zdawało się, wszedłby na kolumnę Zygmunta, żeby wykrzyczeć oburzenie swoje i nawoływać do skautyzmu.

Głos jego niknął w rozgwarze młodzieńczym. Jak świergot wróbla, wrzał, przewalał się, wzmagął,

falował „kolorowy“ poszum ważnych rozmów, pilnych zleceń. Druhny, druhowie pełno mieli spraw do załatwienia. Stołów z albumami, zielnikami, dziennikami skautów emu pilnowały małe zuchy z dostojną powagą i namaszczeniem. Ale gdzie matki, ciotki, ojcowie, dorosłe siostry i bracia ich? Czyżby nikogo z nich nie obchodziła wystawa? Czyżby miała być urządzona dla skautów samych?

Piorunuje się na zepsucie wśród młodzieży. Łamie się ręce nad uczniakami, spacerującymi od kina do kina, i cenzurującymi figury podlotków. Ale czyje sumienie obciąża wyrzut, że tak jest? Nie tej znikomej garstki starszych ludzi, którzy pełni poświęcenia, współpracują z kwiatem naszej młodzieży, z druhami, druhami, zuchami naszymi.

* * *

Szpałty prasy codziennej pełne były niedawno opisów strasznej zbrodni, dokonanej z kilkomiesięczną premedytacją przez dwóch młodzieńców, 14 i 16 letniego. Starszy, syn robotnika, młodszy z rodziny Leitgeberów, bardzo znanej w Wielkopolsce, zasłużonej krajowi, szanowanej powszechnie. Mord dla rabunku spełniony został w biały dzień. Starszy chłopiec potrzebował pieniędzy dla metresy, młodszy na kupno motocyklu, o którym marzył od roku. Zabity był rodzonym bratem 14 letniego Leitgebiera, który wyreżyserował zbrodnię, wiedząc, w jakim terminie Stanisław Leitgeber, sekretarz Związku lekarzy bydgoskich, otrzyma większą sumę pieniędzy na wypłatę lekarzom. Najpotworniejszy to chyba czyn zbrodniczy, jaki notowały kroniki sądowe lat ostatnich. Chłopcy przyznali się do niego i przed sędzią śledczym z całym cynizmem, nie zdradzając najłżejszego wzruszenia i wyrzutów sumienia, przytaczali najdrobniejsze szczegóły zbrojstwa.

„Powieśmy, wyjątki zwyrodniałe, produkt powojennego rozpętania... Ścichnie huragan, wróćą dawne wędzidła etyki...“

Nie. Zbrodnia Leitgebiera i jego towarzysza jest jak piorun, który, strzaskawszy młode pniaki zagajnika, ostrzeża przed pożarem lasu... Nie ludźmy się. Pomruk wojny nie zmilknie wkrótce. Walka wre, stokroć zjadlejsza, stokroć bardziej niebezpieczna, niż na polu bitwy. Orężem jest szantaż, podstęp, intryga, lekceważenie danego słowa, krecie kopanie dołków pod cywilnym wrogiem, zasięki kłamstw, obłudny, fałsz, barykady złej woli. Wojna gospodarczo-handlowa o naftę, węgiel, ropę, zboże i bydło, o przywóz i wywóz, o cła i tranzyt. Wojna, podkopująca najelementarniejsze zasady etyki, wyzuwająca sumienie ze wszelkich skrupułów, zabijająca duszę w człowieku. Zniszczyć, ogłodzić przeciwnika, zapędzić go w otchłań bez wyjścia, pozbawić wszystkich zdobyczy kulturalnych, to główne zadanie ofensywy,

Gdy żołnierz staje oko w oko wroga, bohater jeden i drugi, bo stróżem ich sumienia potrzeba ojczyzny, a odkupieniem szalu morderczego ofiara krwi własnej, walka powojenna, walka cywilna, w imię pokoju i wolności, depcze hasła idei, drwi z głosów sumienia.

Fałszuje się pieniądze, żeby zdobyć fundusz na przeprowadzenie zamierzeń partyjnych. Obrzuca się prasę świata całego najbezczelniejszymi kłamliwymi oszczerstwami, żeby odebrać rzekomemu nieprzyjacielowi zaufanie państw rządzących, zachwiać po-

życzki zagraniczne i zmieść go z powierzchni ziemi. W otwartym boju wiadomo, z której strony wróg uderza. Tu grot pada nagle, niespodziewanie, żeby zaskoczony nim przeciwnik nie mógł odbić go natychmiast.

Gdy srom przენiewierstw hańbi czoła polskie, czy nie czas otoczyć najpilniejszą, najtroskliwszą opieką tych, których drogowskazem i treścią zamierzeń hasła najwznioślejszej etyki? Nie kłam, spełnij codzień choć jeden dobry uczynek, nie łam danego słowa, czcuj obowiązek, pracuj, kochaj kraj swój, bliźnich swoich i ludzkość! To mniej więcej

jądro zasad skautskich. Nie sprzeniewierzy cudzych pieniędzy, nie rozsnuje sieci obmierzłych intryg, człowiek wyrosły w tych zbożnych dogmatach, zaprawiony w twardem obozowem życiu, i w zbiorowym czynie.

Hasła pokojowej organizacji Europy miną bez echa, jeżeli nie podtrzyma ich skautoski hołd prawdzie, nakazom obowiązku, twardego, na podwalinach etyki, opartego czynu i wielkiej, wszechludzkiej, wszechbraterskiej miłości, której źródłem — prężne ukochanie i zrozumienie potrzeb własnego kraju.

C. Walewska.

WOJNA ZABAWEK

Ani dzieci, ani matki nie zdają sobie sprawy jaka zacięta wojna polsko-niemiecka wre w sklepach z zabawkami.

Jak Kasie i Basie z masy papierowej, jak ołowiane żołnierzyki, jak Misie z pluszów łódzkich wysuwają blaszane armatki przeciwko leciutkim Minnom w „kunstseidach“, które przebiegają nasze granice, mimo wysokich ceł ochronnych.

Nasze „Gnomy“ i „Wióry“ są już dzisiaj w rozpacz, że może zająć konieczność obniżenia tych ceł w czasie rokowań z Niemcami i wtedy zaroją się po naszych sklepach i domach miniaturowi zwycięzcy z blachy, drzewa, pluszu i trocin, a dziesiątki i setki naszych wytwórców zabawek znaleźć się mogą łącznie na bruku.

Polskie zabawkarstwo jest względnie młode i niezbyt nowoczesnie zorganizowane, ażeby mogło walczyć skutecznie z zabawką niemiecką, która już przed wojną zdobyła rynek światowy.

Zanim Wilhelm zamarzył o cesarstwie światła, ołowiani rycerzykowie w pikelhaubach zwyciężali już rynki Europy, Ameryki i nawet Azji. Przemysł zabawkarski w Niemczech jest niezwykle różnorodny, zarówno pod względem rodzajów wytwórczości, jak i stopniowania cen.

Istnieją tam całe miasta, trudniące się wyrobem zabawek, jak np. Norymberga, gdzie większość ludności należy zaliczyć do chałupników zabawkarzy, także miasto przypomina wielką fabrykę rozsypaną po wielu, wielu domkach mieszczańskich. W górach Harcu istnieje przemysł ludowy zabawkarski, zatrudniający całe wsie.

Nie mówimy o nowoczesnie, sprzężycie zorganizowanych fabrykach, które wyrzucają na rynek całe zastępy zabawek najtańszych. Na Lipskich jarmarkach, wobec których nasze targi Poznańskie i Wschodnie są skromnym Gulliwerem, na tych wspaniałych wystawach potężnego przemysłu niemieckiego, zabawkarstwo zajmuje całe ulice, ulice lalek, misiów, samochodzików, itd.

Można tam zobaczyć całą cywilizację współczesną w minjaturze. Gdyby znalazł się pod Lipskiem jaki Wezuwusz, któremu by się zechciało pogrzebać to rojne miasto, nasi praprotomkowie z takiej odgrzebanej wystawy zabawek mogliby łącznie odbudować w wyobraźni europejską cywilizację współczesną. Takiego potężnego konkurenta ma nasze zabawkarstwo, które zresztą już przed wojną, za czasów okupacji rosyjskiej rozwijało się niezgorzej, gdyż wytwórczość zabawek w b. Kongresówce, ześrodkowująca się głównie w Kaliszu, wynosiła połowę produkcji

zabawek Cesarstwa Rosyjskiego. I do dziś dnia fabrykujemy lalki z masy papierowej o główkach porcelanowych, pochodzących z Niemiec, oczach i włosach z Anglii.

Mają jednak te lalki ciała krajowego pochodzenia; a zestawianie członków i wstawianie owych angielskich i niemieckich oczu zatrudnia polskich robotników.

Mimo dość znacznej produkcji krajowej panował u nas powszechnie gust do niemieckiej tandety, którą przywożono, a którą mimo zakazów i ceł i dzisiaj się przywozi. Zamiłowanie i przyzwyczajenie do tego brzydkiego i międzynarodowego „made in Germany“ szablonu było i jest tak wielkie, że nawet krajowa wytwórczość naśladowała go stale, co czyni i do dziś dnia. W parę lat po odzyskaniu niepodległości wybuchała wielka moda na sztukę ludową, a co zatem idzie na swojską zabawkę.

Głowiono się długo nad stworzeniem typu zabawki z krajowego surowca, o charakterze swojskim, o estetyce, na rodzinnych wzorach opartej.

Ma to niepoślednie znaczenie wychowawcze, aby dziecko, które się uczy na zabawce orjentować się w przeraźliwym chaosie spostrzeżeń, miało w ręku rzecz estetyczną i pomyślaną syntetycznie, zgodnie ze znajomością jego psychiki. Nie chodzi tu o szczegółowe i realistyczne odtworzenie rzeczywistości, ile o jej skrót przystępny, prosty i harmonijny w kształcie, wesoły i zdecydowany w barwie. Estetyka ludowa, mająca tyle pokrewieństwa z upodobaniem dziecka, jest pierwszorzędnym skarbem w tym zakresie.

Istotnie udało się niektórym artystom naszym stworzyć zabawki, odpowiadające tym wymaganiom. Prym tu trzymają drewniane zabawki „Gnoma“, projektowane bardzo pomysłowo i szczęśliwie; klocki znakomitego prof. Noakowskiego, wykonane przez firmę „Wiór“, oraz wózki i inne zab. drewn. tejsze firmy, zasługują na wyróżnienie P. Wertensteinówna stworzyła swoiste i b. ładne ozdoby choinkowe z papierów barwnych, słomek i skorup do jaj, stosując wzory cacek ludowych. Pod względem estetycznym niektóre zabawki nasze wyprzedzają o wiele zabawki zagraniczne, a nawet stwarzają modę, (wypychane lalki z włosami z włóczki i malowanymi twarzami, które pierwsza wprowadziła p. Łazarska w Paryżu). Na Targach Wschodnich ocenili to cudzoziemcy. Trzeba jednak, ażeby umiało to ocenić również nasze społeczeństwo, odzwyczajając się od szablonu tandety niemieckiej.

J. Or.

WANDA BORUDZKA

MARJA DĄBROWSKA I „LUDZIE STAMTĄD”



Marja Dąbrowska jest u nas zupełnie niezwykłym zjawiskiem. Nietylko z całą świadomością, ale i zupełnie celowo utaiła przed nami wszystkie szczegóły swojej krystalizacji artystycznej. Stanęliśmy odrazu wobec jej zakończonego rozwoju. To też „Ludzie stamtąd” nie są książką lepszą od „Uśmiechu Dzieciństwa”, albo raczej „Uśmiech Dzieciństwa” nie jest od nich gorszy. Brzmi to trochę smutno, przynajmniej na pozór, bo oto z sądu wydawanego o tej książce musimy zgóry wyeliminować wszelką pokusę wnioskowań i przewidywań na przyszłość.

Rzeczą zupełnie jasną jest ta, że następne książki Dąbrowskiej będą na tym samym poziomie, stoimy bowiem wobec zjawiska artystycznego dociągniętego już dziś, już wczoraj nawet, do ostatniej linii.

Przy konstatowaniu tego dociągnięcia ogarnia nas narazie pewien niepokój, mamy wrażenie, że jest to wszystko szczerne do ostatnich granic, że niema tu już miejsca na żadną poprawkę, że nie może nawet istnieć jej możliwość.

Jeszcze trochę i uderzymy głową o pułap. Jeszcze jedno napięcie artystycznego wysiłku i niezawodne ujęcie samego rdzenia zjawisk straci nagle pozór bezpośredniości — wyda się nam zrobione. Ale Dąbrowska pilnie strzeże jej niechybiającej nigdy choć ostatecznej dokładności swego chwytu i przynigdy w gotowej kreacji nie da nam odczuć mozołu artystycznego wysiłku.

Celowo i świadomie „dopracowuje się do wizerunku prawdziwego natchnienia”. Dopracowuje się przede wszystkim do zupełnej równości poziomu swoich książek. Odrazu, od pierwszych stronic, od pierwszych zdań nieomal, ogarnia nas uczucie zupełnego spokoju. Wiemy już, że wszystko pójdzie dobrze. Jesteśmy prowadzeni pewną ręką, możemy nie bać się najbardziej krękołomnej drogi. Umiejętność zasugerowania tej pewności czytelnikowi jest może jednym z największych triumfów autorskich. Płacimy bowiem za nią niesłabnącym ani na chwilę zainteresowaniem, płacimy tem nieprzerwanem rozżarzeniem uwagi, która, jeśli nawet nie wystrzeli w żadnym miejscu niespodziewanym płonieniem, bo odrazu jesteśmy nastawieni na wszelkie możliwości — to z drugiej strony ani na chwilę nie przysypie się popiołem nudy. Przyczyna tego zjawiska leży przede wszystkim w tem, że Dąbrowska artystyczną stronę swoich książek uważa za najistotniejszą. Nie żeby miała inne cele zaniedbywać, ale że widocznie uważa je za najlepiej osiągalne tym sposobem

Drugą przyczyną powstawania w nas tego, najpodatniejszego do chlōnienia wrażenia, stanu napięcia uwagi najlepiej określają jej własne słowa o Konradzie¹⁾: „Liryzm wynurza się tu z eposu opowiadania, z najwyczajniejszych, najniepoetyczniejszych spraw życia. Wszystko dzieje się zawsze w tem tajemniczym miejscu, gdzie czyn staje się wzruszeniem artystycznym, a dzieło sztuki żywiołowym zjawiskiem.”

Ambicją Dąbrowskiej jest też dążenie o którym mówi, że jest ambicją najzdolniejszych dzisiejszych pisarzy, „żeby nie narzucać czytelnikom swego sta-

nowiska, żeby nie dawać liryzmu siebie, a liryzm rzeczy”.

Owa oschłość, którą czasem wskutek tego przewiduje, jest jednakże od niej niezmiernie daleka, dzięki temu, że i Dąbrowskiej książki są zawsze uczciwymi dokumentami, pod pieczęcią nieposzlakowanej szczerości²⁾.

W twórczości Dąbrowskiej — z naszego punktu widzenia przynajmniej, zdaje się zachodzić niezmiernie rzadkie zjawisko zupełnego pokrycia osiągniętym rezultatem twórczych zamierzeń. To też zamiary jej możemy traktować, jak realne fakty³⁾.

„Ludzie stamtąd” mieli być „znalezieniem artystycznego ekwiwalentu zjawisk życia, objawieniem ich emocjonalnej, a więc istotnej treści”. Skomponowana jest też ta książka tak, jak to się komponuje w życiu „niezrozumiale, a niezbitie”.

Jak to sam tytuł wskazuje ludzie przedewszystkiem stają się przedmiotem jej pilnych i owocnych zabiegów. W ludzi tych wzywa się autorka z uporczywością, graniczącą z zupełnym wkorzeniem się w ich psychikę. Widzimy ich niejako z zewnątrz i od wewnątrz jednocześnie z tą absolutną dokładnością, z jaką nie dane nam jest nigdy zobaczyć siebie samych. Nie z nimi też jesteśmy, ale w nich.

Przedewszystkiem dzieje się to, rzecz jasna, w momentach tych ich stanów duchowych, które z natury rzeczy wciągają nas w swoje orbity. W momentach, kiedy niepodobna jest człowiekowi nie stać się tym innym człowiekiem, bo go chwytają same tryby jego przeżyć. W tych chwilach szybszej, gorętszej, duchowej pulsacji należymy do nich niepodzielnie,

Dwa czynniki wpływają głównie na tem gwałtowniejszy wstrząs psychicznych zdarzeń „Ludzi stamtąd”, jak i wogóle ludzi: miłość i cierpienie już to w osobnych rozwłóknieniach, już to w jednym, krwawiącym wtedy zawsze, splocie. Wątek cierpienia zwłaszcza, jako dominujący, należałoby rozpatrzyć przed innymi.

Z chwilą wysunięcia tej sprawy mechanicznie niejako występują na pierwszy plan postacie Dyonizego i Nikodema. Tak jednego, jak drugiego nieuleczalne kalectwo skierowało na róg samotnego cierpienia. Dyonizy idzie po linii najmniejszego oporu — godzi się ze swoim odczepieniem i wyrzeka się odrazu wszystkich praw do życia, instynktownie czując, że w przeciwnym razie będzie musiał się ich wyrzekać po kolei w sposób nierównie boleśniejszy. A więc „Cokolwiek się zdarzy, niech uderza we mnie”. Oddali się od świata. Będzie żebrać. Wytrąci życiu broń — Kapitulacja.

Ale czas jakiś jeszcze musi iść jego rozpędem i tu zadanie okazuje się trudniejszym. Dąbrowska przeprowadza nas przez wszystkie stadja tego „wadzenia się” z życiem. Więc najpierw „gdy już wszedł między ludzi, było mu jakby nie dosyć” — i oto lepsze strony życia, szacunek ludzi, paca zdają się tylko wy-lekać na ostre dzienne światło jego nędzę. Dobrowolnie rozprasza możliwości polepszenia swego losu. Upadki i dźwignięcia się następują kolejno po sobie, zawody i pocieszenia walczą o niego z całą zjadłością. Sama przyroda kolejnością

¹⁾ „Bluszcz” 1924 r.

²⁾ „Wiadomości Literackie” — „Marja Dąbrowska o sobie”.

płynących od niej jątrzeń i ukojeń, zasila to jedną, to drugą stronę.

W mniejszym, lub większym stopniu Dyonizy ciągle jest w tę walkę zamieszany. Dopiero pierwsze wyraźne poczucie wyższości nad nietylko bezdomnym, ale i odrzuconym przez dom, Michalszczakiem, każe mu się oderwać myślą od własnej biedy.

Tu się zaczyna jego triumf. Narazie tylko jako przewaga kogoś, co ma pewniejszy grunt pod nogami nad kimś, komu się ziemia z pod nóg usuwa. Mniejszego cierpienia nad — jeśli nie większem — to przejawionem gwałtowniej. Triumf ten — niezupełny — mógłby się łatwo stać złą radcią, gdyby nie to, że ciepła ludzka litość dopominała się o swoje prawa.

Wyszedł oto Dyonizy „z niczem, z samą tylko śmiałością i sercem człowieczem”. I zatriumfował. Od tej chwili zło musiało, na czas jakiś przynajmniej, ustąpić z jego duszy.

Równie głęboko wwikłani jesteście w splątany kłębek cierpień Nikodema. W jego dzień „pełen zrozpaczonej złości, gorzkiej złości, jadowitej boleści, w której napróżno wzywał Boga, jęcząc: O Jezu, Jezu. O Jezu, Jezu”.

W jego pociechy, płynące z przyjaźni psa, kiedy to „z chytrą nieszczęśliwych udawał, że nie podsycyca niczem tej przyjaźni”. W ich pospólne szczęścia i zachwyty nocne i ranne przejścia do „ciężkich dziennych spraw”.

Z nim razem wreszcie tężjemy w rozpacz z powodu śmierci jego „przyjaciela, jego żarliwego wyznawcy, jego młodego miłego psa”. I widzimy tę czarną noc, która dla Nikodema w biały dzień się rozpościera ponad światem. Bo i skądże weźmie sił do walki z recydywą samotności?

Oprócz tych nad inne wyniesionych ostrych zębów ludzkiego cierpienia, mamy cały szereg innych targnięć i skaleczeń. Ciężkie wdowie i matczyne bóle Peterczyny i Wityczki. Młody, nieporadny, buntowniczy ból Michals czaka, nad którym zapala się jednakże brask lepszego życia. Męka „stratowanego” serca Władysława, kiedy to darowaną żonie chustkę przedarł na dwie i na cztery i na osiem części — wreszcie gwałtowną narazie, a później skamieniałą zawziętość Karczmarka, otwierającą przed nim tę najdalszą, choćby tylko miłą liczącą, drogę chłopca ze wsi do miasta.

Wszystko to są ciężkie, nad inne cięższe chwile „Ludzi stamtąd”.

Z drugiej znów strony miłość szerzy w ich życiu swoje spustoszenia, dorównujące, jeśli nie przerastające, jej zasiewom.

Raz jeden tylko w całej książce przejawia się ona w swojej — od Boga przecież przeznaczanej — twórczej roli w tej połodze uczuć — prawych, uczuć Słupeckiego i Marynki! Wprawdzie i na Marynkę przychodzą chwile niepełnych wyczekiwań, które są, jak to zwykle bywa, w równych częściach złożone z wątpliwości i nadziei. Zacierpi jednak króciutko i przelotnie, bo jeszcze się i tak obronnie nastawiła cierpieniu, że nie prędko znajdzie do niej drogę.

„Choćby mi kazał iść precz, to z jego nielubienia wiency pociechy to mnie, jak z drugiego nie wiem jakiej miłości”. A przytem sprawa Słupeckiego i Marynki to właśnie owa sprawa tworząca — sól ziemi. Nie darmo miłość ich wystrzeliła z gruntu nienawiści niepojętym, nieprzewidzianym sposobem.

Niżej — choć jeszcze nie wyrokiem zupełnej zagłady — zawiśnie chmura miłosnego zawodu nad głową „zdarzonej, raźniuchnej” Julki. Al — jest to nacięcie na korze bardzo jeszcze młodego serca, a przytem uratuje ją ambicją, rozładek, temperament życiowy i to jeszcze, że jej osobiste nieszczęście rozkruszy się niejako przywalone klęską, dotykającą rodzinę.

Jeszcze Łucja z Pokucic wyjdzie cała, ale po jakże ciężkich próbach. Erotyzm jej ma zabarwienie bardzo swoiste: wyrasta całkowicie z gruntu samotności. „To, to już nie jest życie” mówi po wyjeździe męża. To też kochankiem jej zo stanie tylko ten, który potrafi zwalczyć tę samotność. Wtedy znowu żyje tem, „czem ją żyć nauczył Władysław”. „potężny młodzieniec huśtał ją do snu a w dzień był dla niej dobry”. Ożenek Michała lierze do serca, ale w tej samej płaszczyźnie, co wzdęcie się krowy, lub zmarznięcie kartofli. Nie, żeby miała ten fakt bagatelizować, ale, że traktuje go jako jedną z katastrof, a nie wyłączone jedno nieszczęście.

W Rusocinie zaczyna znowu uc uwać doskwieranie samotności. „Jaki to krótki ten dzień, mówiła przerażona — i wybiegała spojrzeć na purpurowe blaski, w których kąpał się wieczorny śnieg”. „O żeby tyż ty nocy nie było, żeby tyż nie było” — wzdychała oczyma ciepłymi od łez. Bo „w nocy nikt nie przychodził — i było jej tak zimno spać — i było jej tak smutno spać”. Dlatego też o Stachu Ruczy — który znowu jej samotność rozprasza, myśli już, „mając serce całe w zadrach”. Tym razem zapada już głębiej w uczucie. „Niech uczyniom — szlocha, te co no człowieka gadajom. Niech uczyniom — by można było bez tego żyć. By nie było miłe, co miłe. By sie można było czem drugim tak samo cieszyć”.

Lecz oto powraca mąż — i zupełnie inne myśli chodzą jej po głowie. „Mój Boże, ile się trzeba było nalać, natańczyć, napodlić, nacierpieć, by mieć przy sobie na krótko — tego, lub tamtego: a oto ten mógł być z nią zawsze i poczuwał się do tego wiernie, jak nikt na świecie”.

To też kiedy kwarantanną trzeciej samotności, najmniej bolesnej, bo z tlejącym w niej od samego początku postanowieniem wyjazdu do męża, odkupi swoje winy — wróci do tej swojej prawdy realnego uczucia, które jest jak i każda wogóle prawda — jedyne.

We wszystkie te miłosne przejścia wplecione jest jednak żywe włókienko nadziei w lepszą przyszłość. Wplecione jest ono i w „miłosny” epizod Józefki z noweli „Zegar z kukułką”. Nadzieja tam ma napozór właściwą sobie barwę, ale my wiemy odrazu, że zawiedzie.



ŚWIĘTYCH OBCOWANIE

ROZMOWA ZE ŚWIĘTĄ MAGDALENĄ

„O Święta Magdaleno,
jaką zdobyłaś cenę
zbawienie?”

„Miłość we mnie gorzała,
pożoga na mnie stargała
urodę, kosztowne odzienie.”

„O Magdaleno płacząc,
duszo w jaśnieniu chodząca,
różane twe ciało i lce
pieścili miłośnicy...
Skądże Ci się to wzięło.
żeś w Bożym raju stanęła?”

„Byłam jak żar wiekuisty
gorący wśród węzowisko,
pełzał po mnie gad nieczysty
z śliną u pyska...
Wąż za węzem się palił i ginął bez śladu...
...Nie czulam... nie wiem... kwitnę pośród Chrystusowego sadu.”

„O Miłośnico zbawiona,
próżna — przed grzechem obona:
czart mię za ręce włóczy,
kamieniem serce tłucze...
Zapomniałam Eozego wzroku,
błąkam się w pachnącym mroku;
jedwabiem — oczy ściśnięte,
usta — pocałunkiem zamknięte...
Na romionach, na szyi — hańby sine ślady! —
O święta Magdaleno, przyszłam do Ciebie po radę.”

„Nie wiem, nie pamiętam... Ciała jestem pożoga...
Nigdy — przedtem — nie było nikogo...
Nie doświadczyłam, nie walczyłam, nie wiem co pokusa...
...Stoję u stóp Chrystusa...”

PROŚBA DO ŚWIĘTEJ KRYSTYNY.

Ciche męczeńskie dziecko, Krystynko, sierotko święta!
Nie mogę się modlić, nikt o mnie nie pamięta;
odwróciła się matki mojej zmarłej twarz;
archanielska odeszła precz odemnie straż;
szatan sączy swój zimny, niezwalczony smutek..
...Już się wdół stoczam, już mię czarne pochłaniają męty!
Chwytam się Twej złotej sukienki, jak tonący brzytwy,
i proszę Cię, święte dziecko, o modlitwy
—nie o szczęście, bo mi je jak ptaka kolorowego wyrwą i zatłuką,
—nie o miłość, bo ją uzyskać można prostą czarodziejską sztuką,
—nie o pieniądze; będę je siłą brała.
...O córeczko dla mnie módl się, o synka, o dziecko matki!

FELICJA KRUSZEWSKA

HEREZJE WIOSENNE

I. HEREZJA POWAŻNA.

Modlitwa o wybawienie od demonów.

Od siedmiu straszliwych demonów, jak od siedmiu grzechów śmiertelnych, wybaw mnie, Panie.

Rozkaż, niech opadną skrzydła ich wzniezione nade mną, które mi przesłaniają świat i Ciebie.

Pozwól mi zobaczyć, że patrząc na mnie uśmiechasz się jednak i że—mimo wszystko—jest wiosna.

Najpierw więc od pierwszego demona, Demona Lenistwa, wybaw mnie, Panie.

Niech odejmie z nad głowy mojej skrzydło wielkie i falujące i pełne spłowiałych barw. Albowiem skrzydło to jest miękkie i w fałdach jego zasypiam.

A zamiast niego ześlij mi, o Boże, Anioła Pracy o tęgich barkach i krzepkich ramionach.

I od drugiego demona, Demona Smutku, wybaw mnie, Panie.

Niech odpadnie od oczu moich jego skrzydło o barwie fiołkowej i zapachu umarłych kwiatów. Albowiem w ciebie tego skrzydła nie widać słońca.

A zamiast niego ześlij mi, o Boże, Anioła Radości o oczach roześmianych i skrzydłach różowych.

I od trzeciego demona, Demona Zwątpienia, wybaw mnie, Panie.

Mieczem ognistym uderz w jego skrzydło czarne, skrzydło o piórach gęstych i mrocznych. Niech zwiśnie bezsilnie, abym przejść mogła po niem.

A zamiast niego ześlij mi, o Boże, Anioła Wiary gorącego, jak płomień.

I od czwartego demona, Demona Strachu, wybaw mnie, Panie.

Niech skrzydłem błoniastem, skrzydłem nietoperza nie uderza mego mózgu. Powiedz mu, że Sam zakreszasz granice mego szaleństwa, powiedz mu, niech przepadnie.

A zamiast niego ześlij mi, o Boże, Anioła Spokoju o niegasnącym uśmiechu i skrzydłach ciemnych.

I od piątego demona, Demona Obojętności, wybaw mnie, Panie

Spuść złoty piorun, niech rozbije, niech zdruzgocze jego skrzydło szklane, skrzydło przezroczyste, które sprawia, że jestem na świecie, a nie mogę dotknąć go sercem.

A zamiast niego ześlij mi, o Boże, purpurowego Anioła, który męczy się i ocieka krwią i pada i zrywa się po sto razy i po tysiąc razy.

I od szóstego demona wybaw mnie, Panie.

Demona która przybiera postać anielską, a nazywa się Tęsknotą do śmierci

Niech rozwieje się jego skrzydło białe i błękitne, które mi się kładzie na oczach i przesłania barwy świata.

A zamiast niego ześlij mi, o Boże, Anioła miłującego życie, Anioła o policzkach czerwonych i twarzy ogorzałej, pachnącego sianem, chlebem i żywicą.

I od siódmego demona, Demona Zmęczenia, wybaw mnie, Panie.

W godzinę wiosny najlitościwszą swą ręką zerwij jego skrzydło, jego skrzydło z waty szarej, waty ciepłej i lepkiej.

Bowiem serce zmęczone nie jest zdolne kochać Cię, o Boże.

II. HEREZJA WESOŁA.

Egzorcyzmy.

In nomine Veris et Solis et Ventis—ego te exorciso, spiritus immunde.

Na radosną barwę zieleni, na ciepło słońca, przeciekające przez palce, na łaskotanie wiatru po rozgrzanym policzku, zaklinam cię, opuść mnie, Szatanie zimy, Szatanie smutku i zmęczenia.

Nie prosz mnie o litość, ani za przykładem owego ducha z „Dziadów“, o sekundę nawet czasu gdyż czasu nie mam już ani chwilki, a sekunda wiosny właśnie nadeszła.

Nie marudź, och, nie marudź i w nieporadnej replice nie staraj się zaimponować mi obcemi językami, przeczytam ci bowiem wiersz Wordsworth'a o Daffodilach i wiersz Coleridge'a o Słowiku i Thomson'a rozdział o Wiośnie. Przeżegnaj Cię książką Delteil'a, który powiedział: „Si j' imagine le paradis, ce n'est pas bleu, mais vert.“

Zaklnę cię po francusku i po angielsku, a nawet po łacinie wynajdę słowo najradośniejsze. A zresztą, czyż nie będzie to wszystko jedno w jakim języku mam się roześmiać?

Posłuchaj! Zobacz! Zaczynam egzorcyzmy:

Otwieram okienko na górze i wprawiam w nie kwadrat szafirowego nieba.

Wszystkie przedmioty w pokoju oddaję płąsom wiosennego wiatru.

Na ścianie naprzeciw, na czerwonych, wesołych ceglach muru jaskrawe litery słońca podpisały zygzakami twój wyrok.

Jeśli ci nie dosyć, uderzę cię po nosie mięsistą gałązką wilgotnego kaczeńca.

Teraz już cię we mnie niema.

A że jestem dobra i litościwa w godzinę wiosny, pozwolę ci przespać tę jedną ostatnią noc na wytartym dywaniku pod drzwiami.

Jutro powleczesz się za mną na łańcuszku skulony, jak mały pokorny piesek, kiedy pójde w aleję witać rozlatujące się lepkie paki kasztanów

MARJA DUNIN-KOZICKA

PRZEMARSZ UŁANÓW

Po wąskiej, polnej drożynie, rzuconej, jak szara taśma, nał pływającym leniwo u stóp urwistego brzegu Wieprzkiem — toczył się gładko mały wózecek. Hermisia wyprostowana i zaróżowiona niby kolorowy pastel powozila z zacięciem i wprawą fachowego woźnicy. Obok niej siedziała pani senatorowa w białej muslinowej chusteczce na głowie. Ztyłu Nuleńka, chłonec wzrokiem rozległy wiejski krajobraz, i czyła w myśli melancholijnie ubiegłe, niestety, tygodnie wakacyjne. Kara klacz, Różka, dobrze już dwudziestoletnia faworytka pani domu, stawiała kroki dość ceremonjalnie, bez zbytecznego pośpiechu, uważając widocznie, iż ostrość biegu przystoi tylko niedoświadczonej młodości. Nagle panna Hermisia wykrzyknęła ostrzegająco, aczkolwiek bez niechęci:

— Jakis wojskowy pędzi ku nam w cwał, proszę pani senatorowej!

Pani senatorowa zwróciła szybko czarne, bystre oczy w stronę, ku której wyciągał się już — niby odłamek masztu z tonącej łódki — żółty bat panny Hermisi.

— Ciekawam bardzo w jakiej sprawie? — rzuciła pytanie, jak rybak wędkę, zgóry jednak powątpiewając w przyjemny wynik połowu. — Parę dni temu, w czasie manewrów, żołnierze z Czerwonnej przypuścili atak do moich sosenek, ścinając im wierzchołki z takim impetem, jak ongi Podbipięta — bisurmańskie głowy! Posłałam wczoraj do pułkownika swój protest. Może to goniec z odpowiedzią, choć nie sądzę, by taki szalony pośpiech w uniewinnianiu się był cechą wojskowości.

(Prawda każe wyznać, iż pani senatorowa była stale „na bakier“ z synami Marsa — stacjonującymi w pobliskiej Czerwonnej, jako że nienawidziła Marsa, który jej spustoszył trzy razy w czasie ostatniej wojny Przymilepki).

Tymczasem jeździec na koniu rósł z każdą sekundą w oczach wpatrzonych weń niewiast i młody, zuchowaty porucznik przypadł do wózecka, wyróżniony się w całej swej foremnej postaci z niebiesko-zielonego tła przestrzeni:

— Porucznik Strzelecki z 114 pułku ułanów — przedstawił się, wznosząc z kurtuazją rękę do czapki. Wysłano mnie naprzód, jako kwatremistrza. Nasz pułk pod dowództwem pułkownika Czarneckiego wyszedł ze Lwowa w drodze na manewry pod Tarnopolem i za parę godzin tu będzie. Czy mógłbym zakwaterować dowódcę i kilku oficerów we dworze?

— Będzie mi miło przyjąć u siebie tych panów — rzekła uprzejmie pani senatorowa, walcząc jednocześnie z uprzykrzonymi myślami, które, jak natrętne muchy, zlatywały co moment na pole jej widzenia: A to dopiero w porę! Dlaczegoż nie w przyszłym tygodniu?! A dziś i owies, i łąka i orka i wozowica!...

— Nawracaj, Hermisiu! — wydała rozkaz mężnie. Trzeba natychmiast przygotować gościnne pokoje.

Za odjeżdżającym wehikulem porucznik wołał, jadąc nieopodal konno:

— Mamy z sobą kuchnię polową i menaż! Proszę się nie frasować obiadem!

— Pośpieszaj, Hermisiu! Co tam ten młody wyplata! Muszę przecież ich ugościć!

Czyż nie mogli doprawdy uprzedzić! Tak się nie robi! Trzydziestu przynajmniej oficerów spada na dom, nie krzyknąwszy: „Baczność!“ To wszystko zachwalane wojskowe maniery!

Trzydziestu oficerów! Nuleńka suwała po dnie wózecka miłemi nóżkami, w czarnych prunelkach, przypominając sobie taneczne kroki. Uśmiechała się do porucznika, kokietującego już podlotka zdaleka rycerską postawą ułana na koniu. Nowy duch wstąpił w Hermisję. Ściągnęła lejce z taką energią, iż świetnie wytresowana Różka pojęła odrazu, że stał się fakt niezmiernie doniosłości, wymagający od niej kolosalnego wysiłku nóg. Rwała tedy naprzód, co sił starczy, radując się w swem końskim sercu, że dwór jest jeszcze dość blisko.

— I gdzież ten wymuskany porucznik?! — pani senatorowa spojrzała poza siebie.

— Trzeba go było na śniadanie poprosić.

— Pojechał, ciociu, na wieś. Poszuka zapewne chat, w których umieści swoich kolegów — objaśniła Nuleńka z rozjaśnioną miną.

Wpadły, jak wichur, na podwórze folwarczne i zajęchały przed dwór. Piękna pani w swawolnym neglizżu, czterdziesto i pięć latnia wedle kościelnych zepisek, młoda, jak wiosna, pod misternie stosowanym różem i blanszem, siedziała w cieniu kasztanów, manikiurując opalowe klejnoty wydłużonych paznogi. Obok niej spoczywał na leżaku zawiedły mężczyzna, spłowiwały blondyn o albinoskiej urodzie.

Dziewczęta skoczyły z wózecka na ziemię, przekrzykując się wzajemnie:

— Pani Marto! Szalona nowina! Cały pułk ułanów wali do nas konno i pieszo i jak się da, po lwowskiemu szosiel! Za dwie godziny tu będą!

Oczy pięknej pani zabłyśły fosforycznie. Usta rozchyliły się ponętym uśmiechem do owej wizji zapewne, jadących czwórkami ułanów, gdy nagle wrodzona jej subtelna przebiegłość wywołała zupełną zmianę wyrazu twarzy. Spojrzała na zakłopotaną panią domu z ubolewaniem:

— Moja biedna, droga pani! I potrzebny doprawdy taki straszny kłopot!

— Martusiu pocziwa! Ty jedna mnie zawsze pożałujesz! Chodź, moje kochanie, naradzimy się, jak ich tu mamy ulokować. Jak myślisz? Może za



prosimy dowództwo i oficerów na obiad! Nie! Za mało czasu! Lepiej — na kolację! Jak uważasz?

Pani Marta w zadumie zgłębiała pro i contra tej propozycji z prześlicznym namaszczeniem. Mąż trochę drwiąco przypatrywał się jej z pod gęstych brwi. Dziewczęta czekały wyroku z bijącym sercem.

— Jeśli to pani senatorowej nie wyczerpie za nadto, uważałabym pomysł kolacji, jako nadzwyczaj udatny. Gotowa jestem natychmiast — pani Marta gestami białych rąk podkreślała swoje oferty — piec torty, kręcić lody, nakrywać do stołu! Proszę mnie rozporządzać, droga Pani!

Senatorowa uśmiechnęła się z rozczuleniem: — Złote masz serce, Marteczko!

Więc będzie huczna kolacja. Przynajmniej raz zabawicie się w tych smutnych teraz Przymilepkach. (Westchnęła, myśląc o zmarłym przed paru laty mężu).

A zatem — do pracy! — weszła śpiesznie do domu.

Za nią wskoczyła na stopnie schodów doletnia sarenka, a zwracając się rozpromienioną twarzą do dziewcząt, szepnęła im na ucho z uniesieniem:

— Potańczymy! Poflirtujemy! Rozkochamy w sobie ułanów, aż hej! Co?! — i znikła za drzwiami, wołając za oddalającą się w głąb dworu senatorową: — Jestem! Jestem! Najdroższa pani!

Tuż za nią biegły przejęte temi doniosłymi wypadkami Hermisia z Nuleńką.

Mąż pięknej pani pozostał sam na leżaku. Był w złym humorze, bo dokuczała mu dziś wątroba niemiłosiernie, a przytem i pożywie z żoną, pomimo jej podmalowanej słodyczy, pozostawiało wiele do życzenia.

— Zawsze ta sama! — mruknął sarkastycznie. Jak arka Noego smółką, tak i ona zewnątrz i wewnątrz — fałszem wysmarowana!

Sądny dzień nastał w przymilepskiej kuchni! Okrzyki: Gdzie mój fartuszek?! Kasiu! Zarzynaj kurczęta i kaczki! Ucierajcie żółtka z cukrem na lody! Paraniu! Wody... więcej wody. Nie płacz mi się pod ręką. Nuleńko! Biegnijcie po pana ekonomę. Niech przygotowuje miejsce w stajni na konie! Hermisiu! Leć po śmietanę! Proszę pani senatorowej podejmuję się upiec torty „Delice“! Dobrze, Marteczko! Piecz, co chcesz! Nastko! Pal w piecu! — okrzyki te, wy-



rywając się bez przerwy z siedmiu niewieścich łon, tworzyły wielotonową, acz miłą w swej obiecującej treści — wrzawę. Zamieszanie, przypominające odległe już narodziny nowego świata z chaosu, trwało aż do chwili, gdy ktoś huknął pod oknem: — Ułani jadą! Wypadli wszyscy z kuchni. Dziewczęta służebne — na dziedziniec, — pani senatorowa z damami dworu do dalszych pokoi, zrywając po drodze fartuchy i gładząc rozwichrzone po zdjęciu kuchennych czepczków włosy. Już przed gankiem wjazdowym muzyka pułkowa grmiała, oddając honory, wnoszonemu do pokoju pułkownika, sztandarowi. W otwartych gościnnie drzwiach polskiego dworu stał wsparty na lasce gen. Waligórski, emeryt, — przyjaciel zmarłego właściciela Przymilepek, bawiący tu na wakacjach i witał z rozczuleniem dawnych towarzyszy broni. Zaczyna twarz promienia'a radością. Ścisnął za rękę pułkownika Czarneckiego, majora de-Laveau, adjutanta porucznika Żabę i podchodzących ku niemu kolejno spieszonych kawalerzystów. W tej jakoby rodzinnej gromadzie, jaką jest bezsprzecznie każdy pułk, dla którego śmierć bywa jednako macochą, a sława — matką, wspomnienia poległych przy wspólnych bojach kolegów powstają, jak żywe, przy powitaniach żyjących towarzyszy. To też i teraz uśmiechy, podszyte wzruszeniem, błąkały się na ustach tych dzielnych żołnierzy! A sławnym z odwagi był ów sto czternasty pułk! W ostatniej wojnie z bolszewikami przybrał był sobie nazwę: „Niebieskich Ułanów“, a to z tej racji, iż wskutek zasłaniania odwrotu wojsk polskich z pod Kijowa własną bo-

terską piersią i wypadami na tyły, osaczających krasnoarmiejców, szaleńcy owi gromadnie szli do nieba, po nadludzkich niejednokrotnie mękach, zadawanych im przez zdumionego tą upartą determinacją — wroga. Stopniał tedy pułk do jednej trzeciej dawnej ilości, ale doszedłszy do Polski, chłonąc ją znowu w siebie najtęższych kompanów. Dziś doprowadzony do siły dawnej jednostki bojowej, dążył pułk 114 na zwykłe manewry wojskowe, nad granicami państwa Sowieckiego.

— I gdzież te kobiety? — gderał dobrotliwie generał Waligórski, oglądając się poza siebie i wzrokiem szukając pani domu. Nareszcie! Wykrzyknął z zadowoleniem, widząc grono niewiast, wkraczające śpiesznie do przedpokoju. (c. d. n.)

MAX DAUTHENDAY

W GODZINIE MYSZY

Żona handlarza owoców zbladła nagle i poczęła drżeć na całym ciele, usłyszawszy słowa męża, gdy się znaleźli na ulicy, pociągnęła go na stronę:

— Coś ty tam plótł o duchach, myszach i o młodych dziewczętach, które do ciebie przychodzą? No, teraz już wiem dla kogo tak odświeżnie przybrałeś pokój. W każdym razie nie d'a mnie

— Co takiego? zapytał niewinny człowiek. Co ja takiego mówiłem o młodych dziewczynach. I trzy-

mał w rękę kapelusz, aby chłodne, nocne powietrze ostudziło jego zgorączkowane czoło. Czy ty myślisz rzeczywiście, że do mnie przychodzą w nocy młode dziewczęta?

— Dobre sobie a dlaczego nie mam tak myśleć? mruknęła płacząca kobieta i przytknęła mukę do twarzy. Przecież przed chwilą wyznałeś wobec wszystkich, że w godzinie myszy przychodzą do ciebie młode dziewczęta.

— Ależ czyż ty tego nie rozumiesz, że plotłem głupstwa, bo zamroczyło mnie wino, tłumaczył się mężczyzna. Przez próg mego pokoju nie przeszły nigdy żadne stopy kobiece, prócz twoich, za wyjątkiem starej baby, która codzień pokój uprząta.

— Czy to prawda? wyszeptła żona handlarza owoców. I pociągnęła męża za rękaw, aby mu zajrzeć prosto w oczy.

— Przysięgam ci, wykrzyknął. Ale nie patrzył na nią, tylko podniósł oczy do nieba, tam gdzie gwiazdy lśniły się, jak piramidy złotych owoców.

Kobieta odetchnęła i roześmiała się ze siebie, że z taką łatwością uwierzyła w zdradę tego, co był wcieloną prawością i dobrocią. I jeszcze silniej przyrzekła sobie okazać się dla męża dobrą i tkliwą, za to, że tak pięknie przystoił jedynie dla niej pokój.

Gdy się znaleźli w pokoju i zdjęła płaszcz, spostrzegła, iż mąż spojrział na zegarek, wyjął z półki jedną z książek z balladami. I zamiast rozbierać się, wyciągnął się na sofie, otworzył książkę i zaczął ją czytać.

Przez ten czas kobieta rozebrała się, rozczesała przed lustrem włosy i wsunęła się do łóżka pod kołdrę, zachowując się cicho, jak myszka, w oczekiwaniu, aż wreszcie mąż przestanie czytać.

Po chwili zamknął książkę, a wtedy kobieta zobaczyła, jak wyjął duże cygaro z zamkniętego dotychczas pudełka i zapalił je. I gdy wahała aromatyczny zapach dymu, myślała w duszy: Tak dobrych cygar nie palił dotąd nigdy. Kupił je widocznie także na moje przywitanie.

I każdy obłok dymu, który wypuszczał z ust, był w jej oczach hołdem na jej cześć.

Nagle przyszło jej na myśl, iż chętnie wypiłaby filiżankę czarnej kawy. Więc zapytała męża:

— Czy nie przydałaby się filiżaneczka kawy do twojego dobrego cygaro?

Wtedy kupiec wstał i podszedł do małej szafki kredensowej, wyjął z niej nową niklową maszynkę do kawy i dwie małe filiżaneczki, postawił to wszystko na okrągłym stoliku pod amplą, nalał spirytusu, nasypał kawy umielonej i przygotowywał się do zaparzenia kawy.

Przyglądała się ze zdumieniem z łóżka jego rękami i nagle te ręce milczącego człowieka, poruszające się dokoła stołu, wydały jej się rękami wędrownego ducha. I zrozumiała oczami kochającej kobiety, że serce tego, który się obok niej poruszał, było w tym pokoju nieobecne. I znowu uczuła się nieszczęśliwą i bezsilną, zrozumiała, że to duchy spacerują po pokoju w godzinie myszy, tak jak to mąż wyznał przy winie. Jednocześnie wmaśniała w siebie, że mąż nigdyby jej nie mógł okłamywać. I zagłębiała spojrzenie w obcy świat przestrojonego odświętnie pokoju, w którym nie poznała już tego, którego kochała. Siedział tam na sofie, jak jakiś duch. Nawet sposób w jaki palił cygaro był nienaturalny i jakby wymuszony. Oczy jego wpatrywały się w spirytusowy płomyk maszynki do kawy, a mimo to widać było wyraźnie, że go

nie widzą. Uszy jego z natężeniem chwyciły syczenie maszynki do kawy, a jednak łowiły inne jakieś dźwięki. Jedną z jego rąk odruchowo i ustawicznie głaskała okładkę leżącej przed nim książki. Wiedzioną instynktem miłości przyłgnęła zazdrosnymi oczami do tej książki. A gdy zagotowała się woda i mąż zbliżył się do maszynki, aby nalać kawę do filiżanek, wstała cicho z łóżka i wzięła ze stołu książkę. Przerzucała ją prędko i przekonała się odrazu, że były to ballady, które młoda krewna, mieszkająca u nich, ciągle czytała i deklamowała.

W szybkim skrócie myśli uświadomiła sobie odrazu, co to były za duchy i kto był ową młodą dziewczyną, co w godzinie myszy przebywała w pokoju męża.

Zrozumiała, że myśli męża skierowane były tylko ku owej dziewczynie i rozgniewało ją, iż oszukiwał ją już wtedy, gdy zgodził dziewczynę do nocnego czuwania w ich sklepie na prowincji.

Gdy zbliżył się do łóżka z filiżanką kawy, odsunęła ją, obróciła się twarzą do ściany i wybuchła płaczem. Gdy zapytał o powód tego płaczu, usłyszał gorzkie wymówki. Wtedy ze spokojem mógł ją upewnić, że ani jedno słowo nie zostało zamienione pomiędzy nim, a młodą dziewczyną, któreby mogło być dla niej krzywdą. O zdradzie nie było mowy.

— Mimo wszystko, coś tam między wami musiało zajść, przerwała szorstko kobieta. Przypominam sobie doskonale, jak nagle przerwałeś w sklepie swoje nocne czuwania. Przyznaj, jakie były ostatnie wyrazy, któreście tam między sobą zamienili?

— Powiedziałem jej, że jestem szczęśliwy, bardzo szczęśliwy w małżeństwie, odrzekł po chwili namysłu.

— Żona obróciła ku niemu ze zdziwieniem zalaną łzami twarz i rzekła:

— Wierzę ci. A jednak wiem doskonale, że ona to jest tym duchem, który tu błądzi o północy. Czy możesz mnie zapewnić, że wszystkie przedmioty w tym pokoju, filiżanki, książki, maszynkę do kawy, kupiłeś wyłącznie dla siebie i dla mnie, a tamta w twojej wyobraźni nie zasiadła nigdy przy tobie?

Na to odpowiedział powoli i z prostotą:

— Gdy teraz, o tej godzinie wspominam tę młodą dziewczynę, wyjaśnia mi się, że wszystko to, co tu widzisz, kupiłem na jej, a nie na twoje przyjęcie. O innych porach dnia i nocy nie przychodziło mi to na myśl.

Kobieta zaczęła płakać. A gdy mąż usiadł przy niej na łóżku, okrywając ją jedwabną kołdrą. Odrzuciła od siebie precz tę kołdrę. A jemu się wydało, że tym ruchem uderzyła mocno dziewczynę, którą kochał skrycie i wyczuwał przy sobie.

Wtedy zrozumiał swoje serce. Wstał i oddalił się w kąt pokoju i tam usiadł, ukrywszy twarz w dłoniach.

Gdy o świcie szyby lekko zadzwoniły, bo ulicą przejeżdżał wózek mleczarza, a po chwili pierwszy dzienny tramwaj, usłyszał w stronie łóżka swoje



imię. Ale gdy podszedł do żony, ta znowu wybuchła płaczem.

— Nic ci się nie stało i nic ci się nigdy nie stanie, bo ciebie nigdy z tą dziewczyną nie zdradzę. Myśli moje o niej czas wystudzi. Jeśli mnie przed nią nie zdradzisz, będę musiał o niej zapomnieć.

I żona przyrzekła mu, że gdy wróci do domu, młodej dziewczynie, podobnie niewinnej, jak jej mąż, nie wspomni ani słowem o tem, co zaszło, o czem się dowiedziała tej nocy. A on był pewien, że dotrzyma obietnicy.

Gdy żona wyjechała, zdejmować zaczął ze ściany jeden po drugim obrazki, wazony schował do szafy, zwinął kołdrę jedwabną i włożył ją do kufra. Nawet ballady wyjął z półki i wsunął je do szuflady, którą zamknął na klucz. Bo od czasu owej rozmowy w noc sylwestrową, duch młodej dziewczyny, który się zjawiał przy nim zazwyczaj w godzinie myszy, oddalił się od niego i cicha miłość umierała powoli w jego sercu. Kupiec pochłonięty został swoją pracą, wystrzegał się samotnych wieczorów, woląc je spędzać w gronie znajomych i w ten sposób wyzwolił się z więzów dręczącej go namiętności.

Pewnego dnia odebrał telegram, w którym żona wzywała go natychmiast do domu, bo owej krewnej zdarzył się okropny wypadek.

Zadrżał, trzymając w ręku papier ze straszliwą wieścią. Po chwili jednak opanował siłą dawne, rodzające się w nim na nowo uczucia i pierwszym pościąganiem podążył do domu.

Zastał żonę z oczami zaczerwienionemi od płaczu. Rzuciła mu się na szyję i wyznała ze szlochaniem, że dziewczyna uległa okropnemu wypadkowi i została zabita na miejscu. Nakoniec, jękając, dodała:

— Pomyślisz, że to ja ją zabiłam. Ale przysięgam ci, że jestem niewinną.

Zdziwił się i zapytał, co to był za wypadek. Wtedy żona wśród łez i szlochów opowiedziała mu, że dziewczyna przez nieostrożność postawiła fałszywy krok, schodząc w godzinie myszy po ciemku do sklepu, aby odbyć swą zwykłą straż i przez otwartą kłapę zleciała do piwnicy, gdzie znaleziono nie-zczęśliwą na kamiennej podłodze z rozbitą czaszką.

— A któż to zostawił otwartą kłapę do piwnicy? zawołał oburzony kupiec.

Kobieta położyła głowę na jego piersiach i na nowo zaczęła płakać.

— Ja to uczyniłam, ja. Ja jestem winna jej śmierci, ale nie uczyniłam tego z rozmysłem.

Wtedy groza przeszła serce handlarza owoców i wy dostał się z objęciem żony.

Ale ona uczepliła się go obiema rękami i zawołała z rozpaczą:

— Gdy sobie nagle przypomniałam, że nie zamknęłam kłapy do piwnicy, wyskoczyłam z mieszkania i zawołałam głośno, aby nie szła do składu, bo drzwi do piwnicy są otwarte. W tej samej chwili jednak usłyszałam jej przeraźliwy krzyk i łoskot spadającego się w ciemnościach ciała.

Usiadła na krześle i znowu załkała z twarzą w dłoniach. Gdy po chwili otworzyła oczy, pokój był pusty.

Przypuszczała, że mąż pojechał na cmentarz, do hali, w której stała trumna, aby po raz ostatni

spojrzeć na młodą dziewczynę. Ale on bez pożegnania wrócił do portowego miasta, a tem samem dał żonie wyraźnie do zrozumienia, iż nie wierzy, aby bez ukrytego, zbrodniczego zamiaru zostawiła kłapę do piwnicy otwartą.

Natychmiast po pogrzebie pojechała do niego, aby go przekonać, że jest niewinną. Ale on znowu wyszedł z pokoju i nie chciał z nią mówić.

Wróciła więc do sklepu na prowincji, zrozpaczona, że mąż nie chciał uwierzyć w jej niewinność.

Pod wpływem doznanego wstrząsu i rozpacz, iż mąż milczy uparcie, rozchorowała się wkońcu na zapalenie mózgu.

Pewnego dnia kupiec otrzymał list od lekarza, w którym wzywano go, aby przybył natychmiast, jeżeli chce jeszcze zastać żonę przy życiu, godziny jej bowiem są policzone.

Kupiec przybył, ale żona już go nie poznała. Lekarz go skłonił, by usiadł przy łóżku, gdyż możliwe jest, że na kilka chwil przed śmiercią powróci jej przytomność i pozna go.

Więc siedział nieruchomo, słuchając, jak w mialignie powtarzała bez końca, że jest niewinną. Ale jeszcze nie mógł w to uwierzyć. Zabiła przez zadróść, powtarzał sobie uparcie.

Nagle chora zerwała się z łóżka i poznała męża.

— Czy przyszedłeś, aby mi uwierzyć? zawołała z westchnieniem ulgi.

Spojrzał w jej oczy i z dźwięku głosu odniósł pewność, że nie ona była przyczyną śmierci dziewczyny.

I w głębi serca błagał Boga o cud. Umierająca musi powrócić do życia i odzyskać zdrowie, jeśli jest niewinną, powtarzał w duszy bez końca.

Spojrzał jej głęboko w oczy i poprzysiągł, że siłą swego pragnienia przywróci jej życie.

— Wierzę ci. Jesteś niewinną. Oboje jesteśmy niewinni i będziemy spokojnie i szczęśliwie żyć dalej, powiedział głośno do chorej, której na pół martwe oczy śledziły wyraz jego twarzy.

— Usnę teraz, a kiedy się obudzę, chcę znowu z tobą żyć szczęśliwie, jak dawniej, powiedziała słabym głosem.

Ułożył troskliwie jej głowę na poduszkach. Czuwał przez ciąg dwunastu godzin przy jej łóżku, nie wypuszczając jej rąk ze swoich dłoni.

Po dwunastu godzinach kobieta otworzyła oczy i, zobaczywszy męża przy sobie, uśmiechnęła się.

— Śpij spokojnie, powiedział jej. Zamknęła oczy i znowu spała przez dwanaście godzin. A po upływie 24 godzin mąż siedział jeszcze nieruchomo przy jej łóżku, trzymając jej ręce w swoich rękach, jak w pierwszej godzinie snu.

Otworzyła oczy i gdy go zobaczyła siedzącego przy sobie, uczuła się szczęśliwą i pokrzepioną, i rozumiała, że powraca do życia. Z bezwiedną pieśczęcią położyła mężowi dłoń na oczach. Głowa jego opadła obok jej głowy na poduszki i zasnął twardym snem. I oboje spali tak obok siebie jeszcze przez dwanaście godzin.

Wreszcie obudziła się prawie zupełnie zdrowa i silna. I od tego czasu zapomnieli o przeszłości, a pożycie ich było tak szczęśliwe, jak w pierwszych dniach po ślubie.

Przekład Zuzanny Rabskiej.

KONIEC

Z. REUTT-WITKOWSKA

KRYSTYNA ROSSETTI

(1830 — 1894)

Cóż, niejedno serce, choć raz i nie raz deptane brnie w doczesną złudę w pogoni za Mirażem. „Lata upłyną, nim z nadziei młodości doszczętnie zrezygnuje“... niepoprawne. Darmo czyni poetka rachunek sumienia za grzech słabości. Zrozumieć trzeba.

Dziedziczy się ciągiem kulturalnych pokoleń te owe zdolności umysłu; ale dziedziczy się też kulturę etyczną. Śród owych protoplastów anglikańskich Franczeski Polidori nie brakło, niewątpliwie, osób duchownych; wiemy napewno o powołaniach pedagogicznych w rodzinie Rossettich, a wychowawcy nie tak daleko do kapłaństwa, do misji doskonałania dusz. Do bacznego rozpatrywania swych porużeń wewnętrznych skłonna, Krystyna Rossetti była z tych, co wzięli w spadku niezmiernie czułe, wyborne — wytworne sumienie.

Bacność! tego rodzaju ustrój psychiczny skłonny jest do smagania się za lada cień myśli, zbyt ziemskiej — a czyni to z zaciekłością bolesną, jak gdyby pokutnik za szczerą zbrodnię biczujący się surowcem. Tego rodzaju sumienie cierpi na wzrost poczucia godności ludzkiej. Biada, prawdziwie, gdy tej swoistej mimozy tknie kapryśny podmuch miłości, co Miłością nie jest. Pomyłkę swą odczuje takie serce niczem zniewagę majestatu Bożego w sobie — przez słabość własną; słabość tę nazwie grzechem (Trzy szczyble), nazwie zmasą czarną (Cobym dała!).

Osobliwsze grzechy, wobec których wielką — a przynajmniej konkretną obrazą Boską byłby „upadek“ naszej Madzi w Emancypantkach Prusa! Niedoskonały snadź żal i pokuta. Na „trzecim szczyble“ daremnie tedy zarzeka się poetka, iż zamknie się w sobie, „zamieszka samotnie, nieszukająca oraz nieszukana“. Nowy miraż. Nowy głód kobiecy miłości: t.j. głód wydobywania z siebie najlepszych wartości, i jeszcze... pod śmiertelne stopy! Któż był tym drugim, i ostatnim, ciężkostopym bohaterem Spodkiem? I czy nim był?

Biografia Krystyny Rossetti mówi o literacie, uczonym, który zwał się Charles Bago Cailey, i któremu — tym razem niewątpliwie ona, Krystyna — dała kosza, bo... nie był dość chrześcijaninem. Zapewne, o tercjarza na własną modłę i miarę w XIX w. cośkolwiek było trudno. Rzekłam tedy „nie, gdem chciała tak powiedzieć“...

Wszelako uczucie wzajemne ostaje się czasowi. Cailey umarł w r. 1883, do końca nie przedstawiając być mile widzianym gościem Krystyny. Dlatego to, wobec uczucia tak statecznego, nie wydaje się możliwym, aby Cailey był tematem sonetu siódmego z cyklu *Późniejsze życie*: „miłować i wspominać, oto wielkie dobro, miłować i zapomnieć, to niedobrze zgoła, przejść z miłości w nienawiść, to piekło dokoła, szalejąca śmierć w sobie, męka“...

Czyżby więc Collinson? Mniejsza o konkret: nazwisko, ulicę, liczbę domu. Dość, że ten sonet, że wiersz *Wspomnienie* to wzdźwięk drugiej z dwu najboleśniejszych strun t. zw. zawodu miłósnego. Jeden już słyszeliśmy: człowiek, którego kocham, odsądził mię od wartości, a przeto tracę wiarę w wartość własną. Piekło prawdziwe, pokusa, nazbyt wabna, samobójstwa.

Żywa wiara w Boga nie dopuściła cienia takiej pokusy do serca Krystyny. Ale zato zadźwięczała druga struna: człowiek, którego kocham, okazał się nie wart mej czci. A są ludzie, którzy tylko na klęczkach kochać zdolni, tylko wartość moralną, odblask Boga w człowieku miłować. Młodości psychicznej grozi zawsze miłowanie człowieka, jak gdyby on sam był bogiem; Bóg się wtedy „mści“, byśmy skruszyli bożka. „Tuliłam je do serca, pokąd żyło, w głąb serca je schowałam, gdy umarło“ — wspomnienie. „Zdruzgotałam swe serce, krusząc bóstwo swoje“... Spięcie sił na jeden cios. Odtąd serce powolutku, kawałkami, w śmierć się obraca; starzeje czas udręki mojej. To część pierwsza owej liryki. A dalej sanktuarjum, do którego nikt wstępu nie ma.

Intruz obaczyłby istotę pogrzebaną, lecz nie umarłą, przed którą głowy swej nie skłaniam więcej, przed którą już nie klękam.

Lecz często w swego życia zwiędłego jesieni
Strażuje tam, radosna,

Myśląc, jak dobra wstanie w Raju dla nas wiosna,
Gdy będziemy zjednoczeni.

Pierwsza część — Collinson, druga — Cailey, wnioskuje biografowie. Mniejsza o to.

Jest nadzwyczajny w świeżości przeżycia sonet Krystyny Rossetti p.t. *Przerwa* (A Pause).

Umali świetlicę słodyczą kwiatową,
Łoże moje usłali mi kwietną słodyczą;
Zwleka duch mój, miłością związany tajemniczą,
Nie słyszę, jak z pod strzechy gra świegot nad głową.
Ni dojdzie z pośród snopów gwarne zeńców słowo,
Jeno dzień za dniem szary oczy moje liczą,
Nad nieobecnym duch mój wciąż krąży strażniczo:
Kocha może, wspomina, trapi się surowo?
Aż w tem krok się na schodach znajomy odzywa,
Swojska ręka, też sama, na kłamce drgnie sieni:
Wtedy dopiero duch mój, zda się, kwietne dziwa
Raju poczuł; marudny piach strugą promieni
Złoty spłynął w klepsydze; a załśni prawdziwa
Glorja nad czołem, duch się radością przestrzeni.

Sonet ten nie wpleciony do wieńca sonetów, p.t. *Monna Innominata*, stanowiących koronę liryki miłosnej tej autorki. *Monna Innominata*, Pani Bezimienna. Geneza tego cyklu następująca, powiada autorka w słowie wstępnym. Dante, Petrarka unieśmiertelnili miłość swą wraz z imionami bogdanek. Wiele pań bezimiennych opiewali trubadurowie. Sławna współczesnica Krystyny Rossetti, Elżbieta Browning, dała wyraz uczuciu swemu w misternych sonetach; autorka skromnie (szczerze) mniema, że, gdyby Elżbieta Browning kochała taką miłością, co „zaporę między kochankami wznosi, dla obojga świętą“, pozostałby nieporównany wieńiec, unieśmiertelniający uczucie kobiece.

Elżbieta Browning była uczoną hellenistką: sonety swe hojnie przyprawiła swoistą solą attycką, wydaje się nawet, że w misterności swej cośkolwiek przesoliła¹⁾.

¹⁾ Sonety E. Browning niedawno wydała w biblioteczkę minjaturowej, Biblioteka Polska — w polskim przekładzie.

Z. ZAWISZANKA

CÓRKA BOGA

14

Przybycie Dziewicy zelektryzowało obrońców. Zgromadziła wokół siebie rozpieczętowanych, otrąbiła zakaz plondrowania, zgóry już śnać pewna, że stary kościół, zamieniony na angielską redutę, będzie za chwilę w ich ręku. I oto nie B stard Orleański, nie sławny La Hire, ni Sautrailles, osiwiali w bojach dowódcy — lecz ona prowadzi do szturm!

Zaledwie wszedłszy w bitwę, stała się wodzem, gdyż była najdzielniejszą. Nie dlatego, by więcej u niała — przeciwnie, umiała mniej. Ale serce jej było większe! Gdy każdy myślał o sobie, ona jedna myślała o wszystkich. Gdy każdy się strzegł, ona nie dbała na nic, ofiarowawszy się cała już naprzód. To dziewczę, bojące się cierpienia i śmierci, jak każda istota ludzka, któremu jego Głosy — przecucia obwieściły już ranę — szło prosto naprzód i stało, pod pociskami kolubryn, na brzegu fosy, ze swym sztandarem w ręku, aby zagrzewać walczących. Przez nią to, co miało być tylko dywersją, stawało się poważnym atakiem¹⁾.

Ponad stosami trupów płonie zdobyta bastylla, by już nigdy nie służył wrogowi. A sprawczyni dzisiejszego triumfu, stygnąc powoli z szału bojowego, rozszereżonemi od zgrozy oczyma patrzy na pierwsze w swem życiu pole bitwy — i cto z oczu tych puszczają się łzy obfite... Szlochając, dźwiga sama rannych Anglików, pociesza konających, broni pojmanych całą swą powagą przed wściekłością zwycięzców. Rozplakana gorzko nad losem tych nieszczęśliwych, co nie mogli duszy oczyścić przed skonem, woła do swoich:

— Spowiadajcie grzechy wasze i dziękujcie Bogu za zwycięstwo! Jeżeli tako nie uczynicie, Dziewka nie będzie wam już pomagać, ni bawić pośród was...

I sama, na tem polu krwi, klęka przed kapelanem, by wyznać raz jeszcze... co właściwie? chyba ten grzech jedyny, że w obronie Ojczyzny nie cofnęła się przed mordem i przemocą...

Nazajutrz, dzień Wniebowstąpienia święcili oblegający i oblężeni przerwą w działaniach bojowych. Ulice i kościoły Orleanu huczały radością dziękczynną, a heraldowie Dziewicy ogłaszali, przy dźwięku trąb, święte jej nakazy i zakazy. Z wczorajszej wygranej narzucała się wojsku i ludowi nieodparta wiara, że to za grzechy ludzkie Bóg klęskami karze, e, chcąc zwyciężyć, trzeba Jemu się podobać: stworzyć w sobie serce czyste i ofiarne.

Rada dowódców powinna była już spos'rzec, że ster wypadków wymknął się nieuchronnie z ich dłoni. Zdobycie St. Loup, do którego oni bynajmniej nie dążyli, przecięło komunikację między dwiema grupami Anglików, otwarło górny bieg Loary — i więcej jeszcze, bo nauczyło ufności, dało obrońcom rozpęd do nowych czynów. A jednak bohaterki dnia wczorajszego nie zaproszono na naradę.. zdecydowano się jedynie zawiadomić ją o powziętem już postanowieniu, i to tylko częściowo.

Lecz Joanna, słysząc, że milicja miejska atakowała na nazajutrz obóz St. Laurent, domyśliła się, (czy odczuła?) odrazu, że to ma być tylko dywersja i z gniewem zażądała, by jej powiedziano całą prawdę. Nie było rady: Jan Orleański, nie pierwszy i nie ostatni raz zmieszany przez tę młodkę, musiał wyznać, że atak głównych sił załogi skierowany ma być na fort Tourelles. Joanna pochwaliła plan, dorzucając wszakże:

— Byście ino onego dopełnili!

Myśl o ponownym rozlewie krwi niepokoiła jej sumienie: czyż angielscy wodzowie, widząc już pierwsze spełnienie jej proroczych ostrzeżeń, nie nawrócą się teraz? By im dać nową sposobność nawiązania rokowań, podyktowała swemu kapelanowi takie króciutkie pismo:

— Wv, ludzie z Angljej, co nie macie nijakiego prawa do królestwa francuskiego! Król Niebios przykazuje wam przezemnie, Joannę Dzwie, byście opuścili wasze bastylle i powracali do kraju swojego — jeżeli nie, to sprawię wam taką łaźnię, iż pamięć onej ostanie po wieczne czasy. Piszę wam ono trzeci i ostatni raz, a więcej pisać nie będę.

Jezus — Maryja. Joanna — Dziewa.

Zaś w przypisku: — „Posłałabym wam godniej ono pismo, ale wy więzicie moich ludzi!

Przywiązawszy ten list do strzały, wypuściła ją z mostu ku warowniom nieprzyjacielskim, wołając:

— Czytajcie! oto wieści!

Sam Glasdall podjął papier, a przeczytawszy, zamroczony wściekłością, złożył ręce koło ust i rzucił w bezbronne powietrze, ku jasnej postaci:

— A jakże! wieści od nierządnicy Armanjaków!

„Joanna odczuła głęboko tę żołdacką zniewagę. W oślnieniu jakimś, rycerka ujrzała się znów dziewczuszką na łąkach Wogezów. W Joannie kobieta tkwi zawsze! Oblana rumieńcem, schyliła czoło i wróciła do Orleanu, płacząc gorącemi łzami²⁾.“ Gdy się skarżyła Bogu na swą krzywdę, święte opiekunki utuliły zaraz rozżaloną i naszeptaly tyle pięknych, wielkich obietnic, że uśmiech przez łzy zakwitł radośniej jeszcze na ustach, wieszczących teraz z rzewnym triumfem:

— Miałach nowiny od Pana!

6-go maja od świtu zawrzało w grodzie. Mieszczanie zwietrzyli śnać, że nakazany im atak ma tylko zakrywać właściwe uderzenie — i, gorejąc żądzą udziału w akcji decydującej, ruszyli hurmem ku burgundzkiej bramie. Lecz była ona zamknięta i strzeżona przez wojsko. Sam pan de Gaucourt, urzędnik królewski³⁾, stał tu na czele halabardników, broniąc autorytetu zwierzchności; lecz rozgorączkowani obrońcy ani myśleli ustąpić i zanosilo się już na bitkę.

Wtem nadbiega Joanna, groźna dziś i zwraca się do Gaucourt'a, ruchem, niedopuszczającym oporu:

— Złwś ty człek, iż bronisz przejść onym ludziom! Wszak, chcesz, zali nie — wynijdą oni i staną dzielnie, jako już stawali!

Rycerz spuszcza wzrok pod płomieniami tamtych młodych, niezwalczonych oczu (ach, czarneż one były, czy szare?...) — a na bezsilny jego gest opadają ze szczękiem łańcuchy. Przez otwartą nagle bramę wali ku rzece prawie 4,000 milicji i rycerstwa, a przed nimi Joanna ze sztandarem...

¹⁾ Szczególną mi sprawia przyjemność opisanie tej chwili cytatem z A. France'a właśnie. Stary ten sceptyk bowiem, przyznając Joannie wielkie cnoty, usiłuje obniżyć jej rolę w ówczesnych wypadkach; a przecie w obliczu Orleańskiego Dzieła, zapomina o swej tendencji, porwany wspaniałością faktów oczywistych.

²⁾ J. Delteil „Jeanne d'Arc“.

³⁾ Bailli.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

KOBIETA W TYBECIE.

Słynna podróżniczka, pani Aleksandra Dawid-Neel, po powrocie ze swego długiego pobytu na Dalekim Wschodzie wygłosiła szereg odczytów o tem, co tam widziała i przeżyła. Odczyty te wzbudziły niezmiernie żywe zainteresowanie zarówno w Londynie, jak i w Paryżu, najciekawszym z nich jednak był referat p. t. „Kobieta w Tybecie”, wygłoszony w Paryskim Collège de France.

Śluchając tego odczytu, trudno się było oprzeć uczuciu podziwu dla niestrudzonej podróżniczki i badaczki naukowej, która nie wahała się narazić na trudy i niebezpieczeństwa, przed jakimi cofnęłoby się wielu mężczyzn, zdrowszych od niej i silniejszych. Z nieprawdopodobną wprost energią i wytrwałością wzięła ta, niezbyt już młoda kobieta, zniósła nieopisane trudy, choroby, spowodowane surowym klimatem górskim, potrafiła przełamać opór rządu i duchowieństwa tybetańskiego i dotrzeć wreszcie tam, gdzie przed nią nie dotarł nikt jeszcze z Europejczyków.

Fakty, przedstawiane przez panią Dawid-Neel, miały zarazem urok fantastycznej opowieści i ścisłość obserwacji uczonej, która z zauważonych przez siebie zjawisk umie wysnuć spostrzeżenia logiczne i przekonujące.

Mówiąc o kobiecie tybetańskiej, którą miała sposobność obserwować i doskonale poznać podczas swego długiego pobytu w tym kraju, pani Dawid-Neel rozwiewa ogólne mniemanie o rzekomej całkowitej niewoli, w jakiej ma ona być pogrążona. Zewnętrznie biorąc, religia i prawo tybetańskie traktuje kobietę z pewną pogardą, jako stworzenie niższe i mniej doskonałe od mężczyzny. Wyrazem tego poglądu jest modlitwa, którą każda Tybetanka codziennie odmawiać musi, a która brzmi: „Wszemmocny Stworzycielu świata, daj, abym w następnym wcieleniu mogła się odrodzić, jako mężczyzna.”

Niższość ta jednak jest tylko pozorna. W rzeczywistości kobieta w Tybecie cieszy się swobodą niewiele mniejszą, niż jej europejskie siostry, którym jeszcze w wielu najbardziej ucywilizowanych krajach prawo odmawia nawet głosu w sprawie wychowania dzieci!

W przeciwieństwie do tych poglądów europejskich Tybetanka wychowuje sama swoje dzieci i ma na nie o wiele większy wpływ, niż ojciec. Wynika to po części z wielkiego rozluźnienia życia rodzinnego. W Tybecie, ściśle biorąc, nie istnieje wcale małżeństwo jako instytucja prawna. Małżeństwo „kontraktowe”, czyli zawierane na podstawie wzajemnej umowy obu rodzin, obowiązuje narówni z wolnymi związkami i zupełnie jednakowo jest traktowane. Co więcej, praktykowaną jest zarówno poligamia, jak poliandria, każdy bowiem tybetańczyk może mieć kilka żon i odwrotnie — każda kobieta w tym kraju może mieć kilku mężów jednocześnie. W tych ostatnich wypadkach zawiera ona małżeństwo z kilku członkami tej samej rodziny. Obecnie bywają do tej wspólności małżeńskiej dopuszczani jedynie ze względów praktycznych, chodzi bowiem o to, aby rodzina nie potrzebowała się dzielić wianem małżonki z innymi. Małżeństwo zatem w tym wypadku zawierane bywa właściwie z rodziną, a nie z poszczególnymi jej członkami.

Wszelkim ewentualnym nieporozumieniom i rywalizacjom pomiędzy tymi współmałżonkami zapobiega miejscowy zwyczaj, na mocy którego współ-

małżonkowie owi nie zamieszkują nigdy jednocześnie pod dachem swej małżonki. Bardzo często każdy z nich trudni się innym rzemiosłem i ma zupełnie oddzielne miejsce zamieszkania, np. jeden jest rolnikiem, przebywającym stale na wsi, drugi zaś prowadzi przedsiębiorstwo handlowe w mieście.

Wobec takich stosunków obyczajowych zrozumiałem jest, że dzieci zależą głównie od matki i są przez nią wychowywane. Dzieci nieprawych niema wcale w Tybecie, wszystkie dzieci, zrodzone zarówno w małżeństwie, jak i poza niem, są najzupełniej jednakowo traktowane i równouprawnione wobec prawa ustawowego i zwyczajowego. Uderzającym jest przytem fakt, że w Tybecie niema dzieci opuszczonych. Sieroty, lub też dzieci porzucone dla jakichkolwiek bądź powodów przez matkę, znajdują zawsze życzliwych opiekunów.

Rozwody są na porządku dziennym. W małżeństwach kontraktowych mąż zwykle wpłaca rodzicom żony przy ślubie pewną sumę pieniężną, jako ekwiwalent kosztów, poniesionych celem wykształcenia i wychowania córki. W razie rozwodu z winy żony, rodzice wracają sumę tę mężowi — jeśli jednak mąż jest winien rozejściu małżeństwa, wynikają często bardzo zażarte kłótnie o zwrot tej sumy, jako należącej się — w pojęciu tybetańczyków — złemu i niedbałemu mężowi. Oczywiście, rozwód nie stawia żadnej przeszkody do zawarcia ponownego małżeństwa.

Tybetanka, w porównaniu z innymi kobietami Wschodu, korzysta z bardzo wielkiej swobody ruchów. Wolno jej wszędzie podróżować samej, jedyne ograniczeniem tylko jest zakaz podróży w karawanach. Widuje się też bardzo często kobiety różnej kondycji i wieku, podróżujące samotnie po całym Tybecie, przebywające niedostępne łańcuchy górskie i niezmierne przestrzenie pustyń śnieżnych — bez przewodnika, bez obrońcy — i nie dziwi to tam nikogo. To też Tybetanki za „pleć słabszą” w oczach swoich rodaków uchodzić nie mogą z pewnością — przeciwnie, składają one niejednokrotnie dowody olbrzymiej wytrzymałości i odwagi.

Niemniej zalotne od swych sióstr europejskich, kobiety Tybetu używają (i nadużywają) w równym stopniu upiększających kosmetyków. Czynią to jednak w sposób nieco odmienny. Zamiast pudru i różu okrywają one swe twarzyczki grubą warstwą substancji tłustej, koloru sadzy, który to kosmetyk ma służyć zarówno jako ochrona przeciwko ostrym wiatrom i mrozom tybetańskim, jak i zastępować nakazywaną kobietom Wschodu przez religję zasłonę twarzy. Pod tem smarowidłem rzeczywiście trudno jest rozróżnić rysy i tylko po dźwięku głosu, żywszych ruchach i blasku oczu odróżnić można młodą Tybetankę od starej.

Głównem zajęciem Tybetanki, oprócz gospodarstwa domowego i troski około wychowania dzieci — jest rolnictwo. Nierzadko spotkać można kobietę, kierującą zupełnie samodzielnie, bez jakiegokolwiek pomocy męża, dużą posiadłością ziemską. Mężczyźni przeważnie pogardzają pracą na roli, przekładając nad nią inne zajęcia, mianowicie rozbijanie i grabienie podróży. Zajęcie to bywa zresztą traktowane fachowo, daleko bardziej, jako sport, cokolwiek niebezpieczny, bo wymagający dużej odwagi i zręczności, niż jako czynność karygodna i występna.

W życiu religijnem i umysłowem Tybetanka uważana jest za istotę niższą, jednak nie o tyle, aby

można ją było całkowicie odsunąć od spełniania obowiązków religijnych. Przeciwnie, niektóre kobiety z rodziny Lamów odznaczają się wyższym wykształceniem i traktowane są z wielkim szacunkiem. Wierni nazywają je Siostrami, lub Ciotkami. Jest nawet w Tybecie kilka kobiet, piastujących godność Lamy.

Z. B.

Z WYSTAWY OBRAZÓW W KRAKOWIE

Cztery znane i cenione artystki zapełniły kilka sal wystawy swoim pięknym i bogatym dorobkiem artystycznym.

Oto kwitną barwne, żywe kwiaty Z. Albinowskiej-Minkiewiczowej, na soczystych owocach kładą się promienie, przenikając je i prześwietlając, z gładkimi powierzchniami mebli światło igra, wywołując niezmiernie interesujące efekty. Kwiaty i wnętrza są specjalnością tej artystki i pozyskały jej słuszny rozgłos. Nowością są jej studia z nad morza, oba momenty fał są doskonałe w swym realizmie.

Polski sentyment, niejednokrotnie podkreślany przez krytyków, jest naprawdę nutą zasadniczą w obrazach Anieli Czarnowskiej: jej precudne dwory istnieją podobno w rzeczywistości, a wywołuje je artystka z takim umiłowaniem, że dla widza stają się one myślą o dworze polskim, o jego kulturze, o jego zadaniach, spełnionych i niespełnionych, o jego losach... Sentyment polski, łącznie z uczuciem religijnym, wznosi wiejski kościółek, wśród kwitnącej roślinności, rozspiewanej w majowym nabożeństwie. Kompozycja w obrazach Czarnowskiej jest bardzo udatna, harmonja barw i precyzja rysunku bez zarzutu.

Minjatury Marji Chybińskiej mają opinię wyrobioną i cieszą się niezwykłą sympatią ogółu. Obok swej doskonałości artystycznej uchylają one przed widzem rąbek zasłony, kryjącej uśmiech życia i jego łagodną radość. Najpiękniejsze są portrety dzieci i młodych osób. Twarze o wyrazie smutnym, poważnym, czy surowym, twarze starsze wogóle mniej się nadają do minjatury, a widocznie krepują artystkę.

Anna Harland Zajączkowska — jak zawsze — nieskazitelna jest w rysunku, architektura jej bez usterek, a perspektywa matematycznie pewna. Na tych niezawodnych podstawach rozwija artystka myśl o prastarych murach, tak nierozzerwalnie złączonych z życiem ludzkim. Środkami czysto malarskimi mówi nam, jakie liczne pokolenia żyły, cierpiały, wypracowywały się wznwyż i marły w tych ścianach Spalata. Ile cnót w nich zakwitło i jakie straszne zbrodnie oparem łez i krwi zamieniały powierzchnie murów w niesamowite alabastry o zamarłych okiennych oczodołach. Wisielec i kandydaci na wisielców porozmieszczani wśród tych tragicznych domostw, są literacką już, nikłą i niepotrzebną kropką nad i.

Ornament w wykonaniu Harland Zajączkowskiej nabiera indywidualnego uroku dzięki żywej inwencji artystki. Da się to powiedzieć zarówno o adresach, kartach tytułowych, okładkach do książek, jak też i o jej przepięknych kilimach, zdobiących sale wystawowe.

Jadwiga Tomicka.

Z TEATRÓW

TEATR NARODOWY

„Agne“ — dramat w 3 aktach Eryka Erbena.

Sztuka pana Erbena dostała się do Teatru Narodowego przypadkiem. Przypadkiem tym był skład sądu konkursowego, który dość lekkomyślnie jedną z pierwszych nagród przyznał autorowi „Agne“.

Nie przesądzam kwestji talentu pana Erbena. Może kiedyś będzie on chlubą polskiego teatru. Pierwsza próba wypadła jednak poníž poziomu najskromniejszych wymagań, wykazując

jakrawo wszystkie błędy i niedociągnięcia. Razi nas w tym dramacie przede wszystkim pretensjonalność, zarówno samego tytułu, jak sposobu pisania. Autor przypisywał widocznie wagę do każdego swego słowa, przez co zwykłe powiedzenia urastały do wielkości komunału. To, co mówią Agne, Andrzeja i Jacek, naprawdę nie jest ani ciekawe, ani głębokie — powiedziane zaś głosem uroczystym i nastojowym — staje się nieznośne. Postacie te są nieznośne i irytujące, niema w nich nic z ludzi żywych. Mimo starannej reżyserji i dużego wysiłku ze strony artystów, nie przemówiły do nas ani przez chwilę, nie znalazły w nas oddźwięku. Obok tych głównych postaci, przedstawił nam autor szereg osób drugoplanowych, równie martwych i mało charakterystycznych, jak tamte.

Co się tyczy ideowej strony „Agne“ — jest ona przesiąknięta duchem rosyjsko-skandynawskim, przez co dramat robi wrażenie reminiscencji rzeczy kiedyś widzianej i słyszanej.

Sam temat mógłby być interesujący, okazał się jednak ponad siły autora.

Pani Agne (o ile miłszą byłaby pani Agnieszka!) od sześciu lat żyje tęsknotą do męża, który dostał się do niewoli rosyjskiej. Tęsknota wypełniła Agne życie, które zamyka ją dla niej w jednym Andrzeju. Tęsknota ta przechodziła rozmaite fazy (jak się domyślamy ze słów Agne do pani Klary): była bolesną, potem słodką — była jednak z początku czemś realnem.

Później stała się cieniem, marzeniem o człowieku, który był. Pani Agne ani przez chwilę nie myśli o tem, co mąż przeżył w piekle bolszewickim, ani jakim wróci. Ona kocha męża dla siebie i pragnie jego powrotu, bo jej życie jest bez niego puste. (Nie wiem, czy taką Agne chciał nam pokazać pan Erben, ale taką ją pokazał). Andrzej wrócił zmieniony, z silnym piętnem lat przeżytych na obczyźnie, tułaczki, nędzy. W nędzy, w biedzie startł się człowiekiem, umarł artysta-architekt, marzyciel, poeta. Przyjechał inny, niż Agne myślała, wszedł do domu inaczej, niż ona sobie marzyła, więc i przyjęty został inaczej. Zwłaszcza, że razem z nim, a właściwie na chwilę przed nim wszedł do tego domu drugi. Na Jacku piekło bolszewickie odbiło się inaczej: utrwaliło w nim przekonanie o znikomości rzeczy ziemskich, ugruntowało pragnienie nasycenia się szczęściem, bo tylko ono ma wartość. Agne podoba mu się od pierwszego wejrzenia, i dla niej Jacek ma dziwny urok, urok czegoś żywego, promienia słońca, który przeniknął w grób jej tęsknoty. Broni przed tym czarem swojej miłości do Andrzeja, ale już nie jest jego, już się w niej rozpełnął głód życia,

Bije od niej urok i czar. Mężczyźni, dla których dotychczas nie istniała, tracą dla niej głowę. Jest ich długa litanja: Jacek, kapitan Zbyszek, aplikant Kazio, nawet doktor... Agne czuje tę przemianę i tembardziej szarym i nieciekawym wydaje jej się na tem tle — sterany latami wojny — mąż. Kocha jednak swoją dawną miłość do niego, w imię tej miłości odepchnie Jacka. Jacek, odchodząc, rzuca jej brutalnie w twarz prawdę o Andrzeju: jakąś Lizawetę, dziecko w Orenburgu... Żal za swoją tęsknotą do niego każe Agne powtórzyć to wszystko Andrzejowi. A potem ostatnia kropla gorczy: Jacek skracal sobie czas miłością ze służącą Marysią.. Ostatnie złudzenie przysło — Agne szaleje; chce użyć życia — byle z kim, z pierwszym lepszym! A że Andrzej będzie cierpiał — niech cierpi! Jego wina, że się zmienił, że ona się rozczarowała. Ale on nie ma siły na cierpienie: dawno nosił się z myślą samobójczą, odejdzie...

Taką, mam wrażenie, była w założeniu „Agne“ pana Erbena. Niestety, w sprawie scenicznej, straciła wszystkie swoje walory, wykazała rażące braki w technice scenicznej, zdumiewała brakiem prawdy psychologicznej. Znalazła też Agne złą odtwórczynię w p. Dulębiance, która opacznie zrozumiała rolę bohaterki. W jej interpretacji nie miała Agne czaru, który usprawiedliwiłby urok, rzucany przez nią na mężczyzn. Z chwilą powrotu Andrzeja, Agne powinna się przeistoczyć, rozwinąć, jak kwiat, tchnąć żywiołową siłą. Tymczasem od początku do końca patrzyliśmy na pretensjonalną historyczkę, która myśli, że jej do twarzy z tęsknotą, presją (!!!) i — pozą. Pan Jaracz wniknął głęboko w duszę Andrzeja, ale był nużący drobiazgowością. To samo da się powiedzieć o jego reżyserji. Pan Węgrzyn jako Jacek, nie miał możliwości się rozegrać: wina to jedynie autora. Panie: Strońska, Lindorfówna i Lenerówna, p. p. Hnydziński, Norski i Kieliszczak robili, co mogli, starając się tchnąć iskierek życia w papierowe postacie, ale im przeszkadzał autor... Z. P.





401.

402.





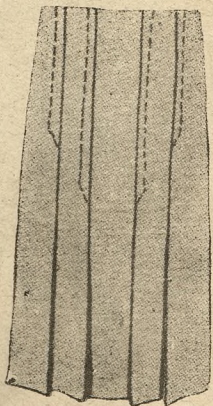
419.

421.

420.



422.



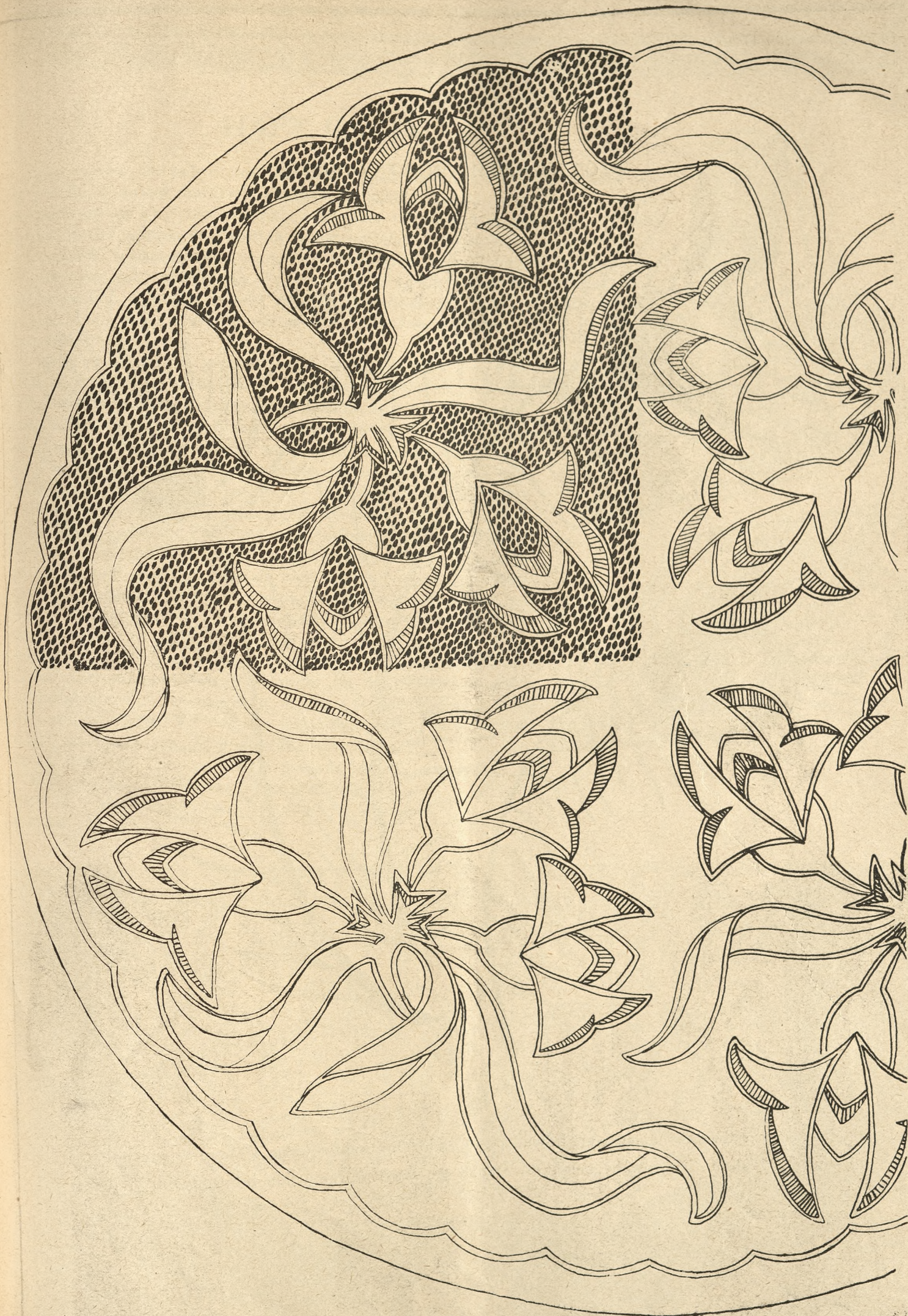
423.



424.



425.



WZÓR NA MEDALJON DO PODUSZKI



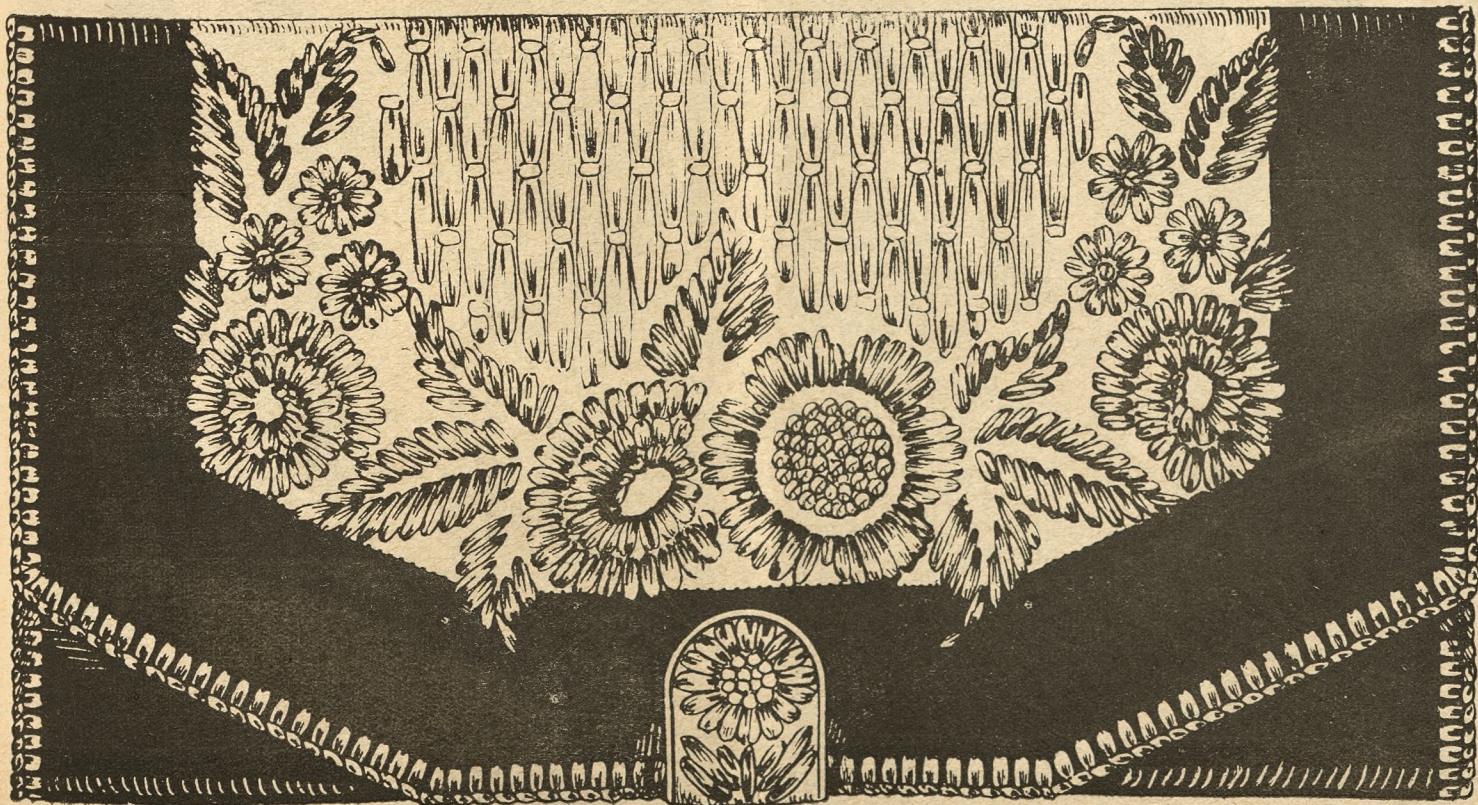
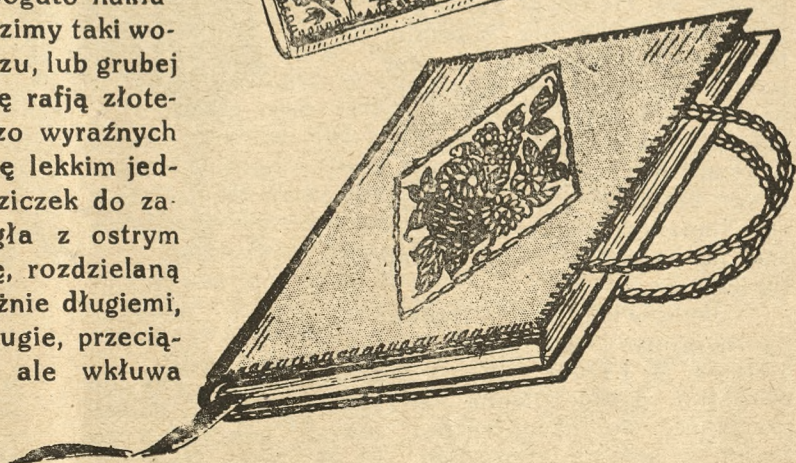
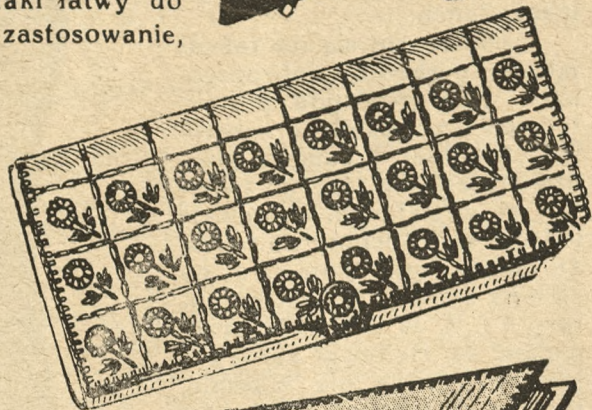
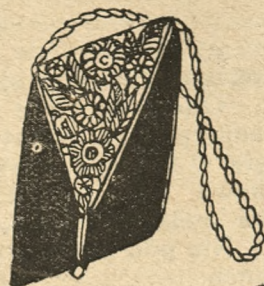
427.

Na jasno piaskowym jedwabiu należy wyhaftować pióra kolorami: szafirowym, zielonym, pawim, środki zaś fioletowym i złotem. Haftowany medaljon otacza się marszczoną wodą lub podwójną falbaną.

HAFT RAFJĄ

„Co modne, to ładne“, mówią według starego mniemania, a chociaż pomysły mody są co rok bardziej kapryśne i fantastyczne, naśladujemy je wiernie i trzymamy się ich przepisów. Któż niedawno naprzykład przypuściłby, że rafja używana dotąd jedynie do robótek freblowskich i co najwyżej do wyrobu ozdobnych pudełek i bombonierek – stanie się modnym przybraniem, że haft rafją będzie używany, jako efektowna i poszukiwana ozdoba. Haft ten taki łatwy do wykonania tem tłumaczy swoją zdobytą popularność i prędkie zastosowanie, że przybory do niego kosztują minimalnie i można użyć go do różnych potrzeb

Rafją wyszywa się makatki nad łóżka, serwety na stół, poduszki, laufry, ramki, okładki i zakładki do książek, a także bardzo modne woreczki i kapelusze. Ładnie da się także zastosować do sukien letnich, bluzek, a nawet parasolek. Haft rafją nadaje przybranych przez niego przedmiotom cechę czegoś nowego, niezwykłego i nieoklepanego. Najmodniejsze są woreczki w kształcie koperty podłużnej, ozdobione bogato nakładaniem wyszyciem z rafji. Na załączonym rysunku widzimy taki woreczek, zrobić go można z płótna, mory, imitacji zamszu, lub grubej kanwy. O ile robi go się z kanwy, całe tło zaszywa się rafją złotego np: koloru. Kwiaty robi się wypukłe w bardzo wyraźnych kolorach do cieniu. Całość po wyszyciu podbija się lekkim jedwabiem, lub satyną i przyszywa zatrzask, albo guziczek do zapinania. Do haftu rafją potrzebna jest gruba igła z ostrym końcem i z długim uszkiem, w którą nawłóczy się, rozdzielaną w miarę potrzeby nitkę, którą wyszywa się przeważnie długimi, lub supełkowemi ściegami deseń. Robiąc ściegi długie, przeciągane nie przeciąga się nitki z obydwóch stron, ale wkłuwając podług deseni i tuż obok wyciąga na prawą stronę, tak aby lewa pozostała prawie pusta. O ile trudno byłoby dobrać odpowiednich kolorów i cieni najlepiej ufarbować rafję w domu.



ZIELONY KARNAWAŁ

Nareszcie znowu można tańczyć. Oficjalnie. Nie w przedpokoju, podczas gdy starszyzna gra w bridge'a, a jakaś przypadkowo luźna ciotka przygrywa melancholijnie „do słuchu”. Nie pod pretekstem lekcji tańca.

Znowu roi się od tańczących herbatek, dobroczynnych dancingów pod protektorem wszelkich arcykatolickich kobiet i samego księdza prałata. Są tacy, co twierdzą, że w zielonym karnawale już nie staje ochoty do tańca, że każdy woli pojechać na zieloną trawkę, że jest za gorąco i t. d. Ja osobiście przepadam za zielonym karnawalem; raz, że się nie marznie, jadąc na zabawy, dwa, że jest jednak mniej zabaw, niż w karnawale zimowym, więc owe zabawy zabawniejsze, no i wczesne wschody słońca, barwiące błękitem okna balowej sali i możliwość bezkarnego wyjścia na balkon w wieczorowej tualecie...

Jakkolwiek jest, trzeba się zastanowić nad sprawą tualetową. W każdej sytuacji życiowej należy być na wszystko przygotowaną. Przedewszystkiem należy przystąpić do skrupulatnej rewizji wieczorowych tualet z sezonu zimowego. O ile z nich Pani nie porobła ab żurów, jak insynuuje złośliwy Makużyński. Prawdopodobnie trzeba je oddać do chemicznej pralni, możliwe, że wystarczy staranne odprasowanie, ewentualnie świeży tiulowy szal. Przy sposobności stwierdzam, iż doświadczyłam osobiście, iż plamy likierowe wywabia dokładnie czysta, zimna woda.

Jeżeli Pani za mierza sprawić nową tualecie wieczorową, niech będzie koniecznie jasna, powiewna, wiosenna. Sylwetka sukien wieczorowych nie zmieniła się od zimy ani trochę. Dół sukni zawsze falujący wycinany w fantazyjne zęby. W jednym z ostatnich numerów „Sélections” widziałam suknie układane z wstążek. Dół



tworzyły pentle zakończone malutkimi bukietkami. Bardzo oryginalne. Modny kolor parme przesłicznie wygląda zarówno we dnie, jak wieczorem. Widziałam bardzo efektowny model z georgette'y parme na morelowym jedwabiu. Szeroką tunikę obciążały spore róże z morelowej wstążki z zielonymi liśćmi. Wszystkie odcienie zielonego dobrze wyglądają przybrane złotymi, lub srebrnymi wyszyciami. Zarówno zielone, jak parme, są to kolory wyłącznie dla blondynek. Brunetki powinny się kontentować bogatą gamą bois de rose'ów, do których obecnie hojną ręką zaliczono i morelowy i pomarańczowy.

Aksamity poszły wraz z futrami do kufra z naftaliną, tam będą spać spokojnie aż do późnej jesieni. Teraz są w modzie gazy, jedwabie i tafta. Na dancingi robi się śliczne robes de style z tafty. Gładki lekko wcięty staniczek z krótkimi bufiastymi rękawkami i suto marszczona spódniczka, może być wycięta w zęby,

albo równa, jak kto woli. Przybiera się te wdzięczne sukienki haftem jedno, lub wielobarwnym, jedwabnym, lub paciorkowym. Kolorów wielka różnorodność. Ma taka taftowa sukienka tę wielką zaletę, że, odtańczywszy swoje, przyda się potem nad morzem i na letnie wizyty i do restauracji.

A jak będzie malowniczo wyglądać z wielką słomkową pasterką, która, nie wątpię ani na chwilę, weźmie w lecie odwet na obecnych małych kapelusikach.

Ładnie wyglądają dancingowe sukienki z koronki i georgette'y bois de rose albo gris perle. Widziałam nawet taki ensemble: sukienka z gazy gris perle z koronką do cieniu i okrycie trois quarts z perłowej georgette'y, obłożone liśm.

Bardzo ładne, ale na warszawski kurz!!!... Brr.. strach i omyśleć. W Paryżu coraz modniejsze materiały en tons dégradés cieniowa-



ne, ta prześliczna moda u nas nie zdażyła się jeszcze spopularyzować. Może to i lepiej, bo ulica potrafi najładniejszą modę obrzydzić. Dzikład, tak niedawno modne tricotine'y.

Reasumując, radziłabym Paniom donosić

w zielonym karnawale zimowe tualety, bo jesien-ny sezon przyniesie z pewnością wiele nowego, a na wiosnę i tak jest tyle wydatków na garderobę na ulicę. Zabawę gwarantuje wiosna i wrodzona słoneczność.

Wall.

HISTORIA RĘKAWICZKI

Słynne portrety z XVI i XVII wieku ukazują nam często rękawiczki, jako szczególnie niezbędny stroju. To, czego nigdy nie może dać opis, uzupełnia malowidło. Zarówno portret „Mężczyzny z rękawiczką” Tycjana, jak autoportret Van Dycka, przekonują nas naocznie że rękawiczka ówczesna miała na celu zdobić dłoń, ale bynajmniej jej nie obcisła. Świadczą o tem również liczne portrety grandów hiszpańskich, dostojników dworu francuskiego i angielskiego, a przedewszystkiem portret Karola I-ego, trzymającego w rękę rękawiczki muszkieterskie, na oko bardzo giętkie i bardzo duże.

Za Ludwika XIV najwięcej poszukiwane są rękawiczki wyrobu angielskiego i francuskiego, szczególnie gdy wchodzi w użycie mitenki „Gants, mitons mitaines” nuca w starej piosence z 1690 roku, one zatem były noszone przez dworaków króla-Słońce.

Na zimę mitenki są aksamitne, podbite futerkiem króliczym, na lato jedwabne, robione na drutach, lub maszynowo i często haftowane srebrem. Zakończona są kłapką, ściętą w szpic. Aby zapewnić sobie swobodę ruchów wystarcza wysunąć pale przez otwór pozostawiony u spodu dłoni i odrzucić kłapkę na przedramię Rycina, pochodząca z 1690 r., przedstawia nam księżniczkę z rodu Kondeuszów w chwili, gdy pełnym wdzięku gestem obnaża swą dłoń w wyżej wspomniany sposób.

Sądząc ze sztychów współczesnych, noszone są również chętnie rękawiczki tkane, aksamitne, lub skórkowe. Księżniczka krwiela Grande Mademoiselle w r. 1680 ma w rękach rękawiczki ze skórki bobrowej, lamowanej w górze pluszem. W r. 1693 księżna Conti nakłada rękawiczki półdługie, bez frendzli, bez lamówki, zdobne jedynie haftem na grzbiecie dłoni.

Rękawiczki męskie są najczęściej wyszywane, zdobne frendzlą lub szychem, bardzo luźne, à la Van Dyck, z długimi palcami, z obszerną dłonią, a jednak wykwiłtne i dostojne, jak to widzimy na portrecie hrabiego Tuluzy przez Rigaud'a.

Z tej epoki pochodzi śliczna para mitenek, dzianych z nici złotej, mieszanej z fiołkowym jedwabiem na tle brązowym. Podobno stanowiła ona własność Ludwika XIV.

Stożniowo rękawiczka przestaje być przedmiotem zbytku, a staje się nieodłączną częścią ubioru, zachowując pewną zalotność i wykwiłt, sobie tylko właściwy. Nie ośmielono by się wówczas podać dłoń bez rękawiczki, a na wszystkich rycinach z epoki pani de Maintenon widzimy towarzystwo w rękawiczkach i mitenkach. Wreszcie rękawiczki zyskują sobie coraz większą ilość adeptów wśród mieszczan i w w. XVIII rozszerzają swoje prawo obywatelstwa poza arystokrację i szlachtę również i na stan trzeci.

Po Ludwiku XIV rękawiczka męska traci charakterystyczne, marszczone wcięcie u napięstka, upraszcza się, zbliża się do rękawiczki dzisiejszej,

różniąc się tylko od niej różnaitością barw i luźnością kroju.

Następuje pewne uszczuplenie panowania rękawiczek skórzanych na rzecz dzianych i jedwabnych. Cennych informacji na ten temat dostarcza nam marszałek Richelieu w r. 1720 w słowach następujących:

„Rękawiczki i mitenki robi się obecnie z kitajki podbitej cienką skórką, przyczem kolor ich zastosowuje się do koloru sukni, kołnierza futrzanego, fartuszka, lub wyłogów ubrania. Właściwych mitenek nie nosi się wcale tylko białe rękawiczki niciane w lecie, jedwabne w zimie.”

Dawna rękawiczka, kosztowny klejnot i cacko urocze wieków XVI i XVII-go należy już do przeszłości. Odtąd kończy się jej byt samodzielny, przestaje istnieć sama dla siebie—jest dodatkiem i uzupełnieniem całości ubioru.

Najbardziej poszukiwane są rękawiczki ze skórki tak cienkiej, żeby można je zmieścić „w łupince orzecha”. Przywiązuje się większą wagę do koloru, niż do ornamentu.

Strój balowy wymaga rękawiczek białych, do jazdy konnej używa się rękawiczek z żółtej skóry. Za Ludwika XVI ukazuje się od czasu do czasu rękawiczka haftowana na wierzchu dłoni i ujęta w przegubie w bransoletkę o modnym odcieniu np. „soufre tendre” (blada słomka), albo „queue de serin” (ogonek kanarka).

Moda trwa uparcie przy mitenkach i rękawiczkach jeśli sędzić po portrecie hrabiny de Barry, albo po wdzięcznych panienkach z „Promenady” Debucourt'a. Mitenki nie okrywają palców, tak, że widoczne są zdobące je pierścienie.

W r. 1790 pewien lekarz obwieścił, że jedwab wysusza naskórek, co spowodowało ogólny zwrot ku rękawiczkom skórkowym, ale Wielka Rewolucja położyła kres tym niesłychanie doniosłym wahaniom na szalach mody.

Z tej epoki musimy zanotować parę rękawiczek, nietyle może gustownych, co komicznych. Jest to rękawiczka w pasy w dwóch, lub w trzech jaskrawych kolorach, z którą przechadza się elegant rewolucyjny.

Czasy Terroru i Termidoru przynoszą strojnisiom w darze rękawiczkę krótką, zdobną w drukowane desenie, najczęściej w guście wschodnim, zakończoną ząbkami. Bezpośrednio po niej wstępuje na widownię długi pokrowiec ze skóry, lub tkaniny, sięgający aż do ramienia i ginący pod draperia szala. Ten rodzaj rękawiczek kładzie ciemną plamę na świetliściej i przejrzystej tualetcie powiewnej „Merveilleuse'y”.

Za pierwszego Cesarstwa rękawiczka nieco krótsza ukazuje skrawek ramienia między utrzymującą ją na tych wysokościach wstążką, a rękawem krótkiego, bufiastego rękawka. Elegancka dama powinna umieć włożyć sobie rękawiczki, trzymając

ręce poza sobą, jak również zsunąć ją z ramienia, pociągając jedynie za końce palców. Należy to do warunków dobrego tonu, podobnie jak umiejętność noszenia sukni obcisłej tak, aby cała postać nie sprawiała wrażenia sztywnej, choć materia dokładnie przylega do ciała.

Najbardziej charakterystyczne rękawiczki empiryczne są te, które wielkie panie zamawiają sobie u krawca Leroy; długie, szyte, ozdobione u kiści i ramienia, albo girlandami z pailletek złotych i srebrnych, albo kolorowymi kwiatuskami. Zazwyczaj rękawiczki te zastosowane są do całości туалету.

Jednocześnie trafiają się i krótkie rękawiczki skórkowe, drukowane w deseń. Historyczne Muzeum Tkanin miasta Lionu, posiada kilka takich par, drukowanych czarno na białym w drobny deseń z kwadratów, lub rombów. Sprawia to efekt niespodziany, ale zupełnie pozbawiony wdzięku, właściwego epoce.

Wreszcie aby uzupełnić dworskie, bogato szamerowane kostjумы, wskrzesza się staroświecką rękawiczkę, zdobną w ciężkie hafty i sutą frendlę. Po skromnej rękawiczkce męskiej z końca XVIII wieku wygląda ona, jak obwieszony klejnotami nieboszczyk wyciągnięty z mauzoleum, aby asystować uczcie potomnych.

W w. XIX mody w rękawiczkach ulegają tak szybkim zmianom i tak się krzyżują, że poprzestać możemy jedynie na wskazaniu głównych wytycznych, jakie uwidoczniły się w przemyśle rękawicznym.

Aż do roku 1850 panuje tendencja wybitnie dekoracyjna, daleka jednak w swych pomysłach od zbytkowej rękawiczki renaissance. Epoka pozytywistyczna wnosi i tutaj dążności, zmierzające w kierunku technicznych ulepszeń. Wysiłki fabrykantów mają na celu udoskonalenie kroju, odpowiednie preparowanie skóry, jednym słowem stworzenie artykułu, który nie ozdobi, ale odziewa i chroni.

A jednak, jeśli zaczniemy przerzucać żurnale okresu romantyzmu i „biedermayera“, spostrzeżemy łatwo, że prababki nasze wiedziały doskonale, jak zapomocą rękawiczki uczynić swą łapkę czarującym, lub jedwabnym motylem, zamkniętym w skórkowym, lub jedwabnym kokonie.

W r. 1837 używane są chętnie rękawiczki fildkosowe; w dwa lata później wywierają je całowicie mitenki, potem rękawiczki półdługie (1837), następnie rękawiczki krótkie z jaskrawym paskiem, obciskającym kiść dłoni (lata 1838, 1842, 1852), znowu rękawiczka półdługa, ale fałdowana, znowu mitenka, tym razem karbowana.

Beczka mody wielokrotnie wywraca się do góry dnem w w. XIX; to, co było jeszcze wczoraj na wierzchu, dziś jest na spodzie. Rękawiczka ulega bezwzględnie supremacji rękawa, albo kaprysu chwilowego mody. Gdy monarchini chce, aby jej poddanki pyszniły się kosztownymi pierścieniami, każe im nakładać mitenki. W celu uwydatnienia cienkości ręki w kostce nosi się rękawiczkę krótką z paskiem; przy wyдутym rękawie chodzi o optyczne wydłużenie ramienia — rękawiczka długa zostaje przywrócona do praw.

Za drugiego cesarstwa rękawiczka jest cechą przyzwoitości; szablon w niej panuje, nie fantazja. Wynalazek Ksawerego Jeurin pozwala na krój, dzie-

ki któremu rękawiczka ściśle przylega do dłoni świat stał się nazbyt „mieszcząskim“, aby odważno się razić jego upodobania jakimkolwiek żywszym tonem, któryby odcinał się na jednostajnym tle współczesnej odzieży.

A jednak ten moment stanowi punkt zwrotny w historii rękawiczki. On jej zdobywa klientelę najliczniejszą i najbardziej wierną, złożoną z tych, którzy w rękawiczkę szukają nie ozdoby, nie zalotności, nie zadowolenia zmysłu estetycznego lub dumy, ale prostoty i wytworności, cech dobrego wychowania, wynoszących ludzi z towarzysstwa ponad tłum.

Rękawiczka demokratyzowała się, jak zresztą wiele dziedzin naszego życia.

Z pałaców, sterczących dumnie, zeszyła na pałody użyteczności publicznej. Stała się własnością ogółu. Epoka powojenna zredukowała ją do granic ściśle utylitarnych. Rękawiczka przestała należeć do akcesoryj salonu, właściwie mówiąc, umarła razem z nim. Dancing nie zna rękawiczki, zna ją tylko ulica, wagon i niektóre sporty. Rękawiczka szoferska i hokerska, to symbole nowoczesnej rycerskości która tak się ma do średniowiecznej, jak zmechanizowany pęd auta ma się do cwału turniejowego rymaka.

W momencie największego pogwałcenia rękawiczki nastąpił raptowny zwrot. Przypomniano sobie, że i ona miała kiedyś duszę i postarano się ją wskrzesić. Był to jednak tylko surogat zmartwychwstania. Rękawiczka dotychczas nie odzyskała bytu indywidualnego, jakim cieszyła się za czasów Renaissance, choć przyznano jej prawa do samoistnego ornamentu, którego polem stał się po dawnemu mankiet Instykt mistrzów mody poszedł, zdaje się, najwłaściwszą drogą i po linii najmniejszego oporu. Chciał wywołać wrażenie stylu i wywołał. Tem tłumaczy się nagłe powodzenie rękawiczki ultra-modern, tych pięściadełek pomysłowości, wykwintu, lekkości jakie mieliśmy sposobność podziwiać na wystawie sztuk dekoracyjnych w Paryżu.

Kobieta, nakładająca taką pseudoklasyczną rękawiczkę, przeżywa na drobnej skale szereg podobnych złudzeń i miraży, jakie stają się jej chwilowym udziałem, gdy przywładzie krynolinę. Znika na chwilę smoking i męski kapelusz, ulubiony strój chłopczycy; przekreśla się konstruktywistyczny świat drapaczy nieba, udoskonalen technicznych i ulepszeń radjowych.

Staje przed nami znowu w pełni swej klasy i beziły romantyczna kobieta, westalka niewygasającego znicza „wielkiej namiętności“, dzisiaj już nie rzucająca swej rękawiczki pomiędzy lwy, dla wypróbowania uczuć kochanka, ale ściągająca ją leniwie w podniecającej atmosferze dancingu, aby zbrojna jedynie w pierścionki dłoń złożyć w obnażonej dłoni tancerza — swego „wypróbowanego“ tancerza w passodoblo, najmiłszego towarzysza zabawy miłosnej na posadzce sali balowej, w izolowanym wnętrzu auta, w półmroku dusznej garsoniery...

Cóż na to powiesz Izoldo „o białych dłoniach“, która z miłości do Tristana rzuciłaś dwór królewski, aby dzielić z kochankiem twarde łożę puszczy.

I ty na progu nowego życia zostawiłaś rękawiczki, podbite gronostajem.

¶ Spero.

JEMU I JEJ

Kobieta to zagadka. Tak, jak odmian róży jest tysiące, tak i kobiecych typów zliczyć i ująć nie sposób.

Gdyby je ustawić rzędem te wszystkie: śliczne, klasyczne, roześmiane, zadumane, urocze, wartościowe, głębokie, puste, wiecznie pożądane i rozpaczliwie nudne — jak muchy w słońcu brzęczące i te z uśmiechem Sfinksa, co umiejętnym milczeniem maskują próżnię, fatalityzmy poświęcenia i samozaparcia, drapieżne stworzonka, których wymanicurowane łapki z uśmiechem duszą ofiarę i te, których pięściwa, dobra dłoń wygładza drogę życia, prężne koteczki o gładkim, lśniącem futerku i zniekształcone chorobą a pracą. I te wszystkie, wszystkie nieujęte, nieodgadnione, jak szarżyzna dnia codziennego banalne, błyskotliwe i szare, i biedne — starczyłoby ich od morza do morza.

A gdyby przed tym reprezentacyjnym rzędem zjawiał się „On“ z mocą przejrzenia duszy, jak widzi ciało — z prawem wyboru i głęboką, przez życie daną świadomością, wyciągnąłby dłoń zaborczą i powiodł ze sobą w życie nie tę, co w aureoli swej misternie spiętrzonych złocistej czupryny, w obrazek w słońcu jest malowana i nie tę, której wonne szatki szeleszczą cichą baśń o rozkoszy, i nie tę, ślicznie o miłości filozofującą, ani bogatą w złoty trzos, ani niezłomną cnotą bezcenną.

Wybrana jego miałaby zalety swoiste, a rzadkie... Umiałaby nie mówić o sobie, a słuchać — ślicznie słuchać z piętnem głębokiego przejęcia w źrenicę głębi, na pogodnym, zawsze pogodnym czole Umiałaby kochać miłością podobną do cichego słonecznego dnia, co daje poczucie bezpieczeństwa i wytchnienia — bez słodkiego upojenia ciepłych, wonnych, zawrotnych podmuchów wiosennych, bez żaru górnego słońca, bez melancholji kwiatu, co niespokojnie odpycha widmo dnia, w którym płatki jego stracą krasę. A na sojuszniczkę najwierniejszą, niedostępną dałby jej panią, Intuicją zwaną. Ona to tłumiałaby jej śmiech, co dysjonansiem nieraz dzwoni, wszechwiedzącą dłoń, niby pieczęć, złożyłaby tylekroć na ustach rozchylnym niepotrzebnym, bolesnym, niedyskretnym pytaniem, aż nauczyłyby się wielkiej filozofii wspólnego życia — zrozumienia w milczeniu.

Wybrana, posiadałaby nieoceniony dar „niedociekania“.

Wiedząc, że poza nią stoi życie, życie co czyha i kuszący naprzeciw niemu z wyrozumiałością wielką i z beczennym darem omijania faktów, co muszą być żyte, a jednak znane i, świadomością wchłonięte, każą cierpieć. Byłaby pełną głębokiego, udzielającego się poczucia swojej wartości, tą której się nigdy nie bagatelizuje, byłaby tą zdradzaną, do której się wraca z radością i coraz silniejszym przeświadczeniem o jej jedynej niezastąpionej trwałości, tą, co wygasający żar uniesień umie w porę przetopić na beczenny kruszec przywiązań, której uśmiech w złej i dobrej doli je t niby promień słońca, której miękka biała dłoń, na szalę wspólnego życia, rzuca posąg królewski — równowagę. Z jej głębokich mądrych źrenic, z pogodnego czoła z uśmiechu co rozchyła purpurowe usta, z każdego czynu, z każdego słowa, jak z przeczystego źródła, tryśkałoby dobro, największe dobro życia, bo przy niej, dokoła niej, w niej, znalazłby zawsze wytchnienie.

Ale niestety dobry Bóg, dając ludziom prawo wyboru i wolną, a nieprzymuszoną wolę pozbawia

ich jasnowidzenia. Patrzą oni biedni poprzez przy mat włosów z morskiej piany i źrenic, w których czai się głębia o zwodniczej treści. A potem małżonkowie, oswajając się ze sobą, coraz śmieiej i zdecydowanie wysuwają szufladki z mozołnie ukrywaniem brakami co więzione długi czas narzeczeństwa i pierwszych tygodni, miesięcy wspólnego życia, wołają o swe prawa. Naprzeciw tym intruzom rzadko kiedy wychodzi docenienie obowiązku i osobistej godności „wybranych“, którzy za cenę największego wysiłku i najmozołniejszej pracy nad sobą winni złudnie nadać cechy rzeczywistości. Poczucie odpowiedzialności za wzięty na siebie obowiązek niezamarnowania drugiego życia, wytworzenia atmosfery, w której indywidualność połączona z nami na śmierć i życie jednostki nie zmarniałaby pod uciskiem ciężkiej ręki nieprzewidywanej rzeczywistości, jest na ogół obustronnie za mało doceniana.

Samo założenie małżeństwa ma w sobie takie niewyczerpane źródło cennej wspólnoty, tyle głębokiego znaczenia, takie ogromne pole pod zasiew rzeczy dobrych i pięknych, że szkoda go dla tych, których nie łączy nic prócz chwilowego popędu, interesu, czy poprostu zbiegu okoliczności. Małżeństwo zrozumiane tak, jak na to zasługuje, ujęte głęboko i lojalnie jest niby złota kłamra, niczem cicha przystań, w której po burzach dni brzemiennych w troskę, łódź życia kołysze się cicho i pięściwie na fali wytchnienia i pewności, że przy naszym sercu bije równem i niezawodnym tempem serce wierne, oddane i wyrozumiałe, że dłoń nasza w chwili trwogi i niebezpieczeństwa znajdzie przy sobie silne ramię, które ją wesprze, że łązy, wyciśnięte bólem życia, nie popłyną w zimną próżnię, ale osuszone ciepłym podmuchem miłości i pieczyoty zakwitną uśmiechem. Małżeństwo, w idealnym tego słowa znaczeniu, to beczenna głębia słowa „razem“, razem na śmierć i życie, razem, aż do ostatniego tchnienia, to solidarność, lojalność, wyrozumiałość, to spokój spełnionego zadania, to pełnia życia, to szczęście. W rzeczywistości ta boska instytucja przerażająca się najczęściej w coś spaczzonego i najwyżej znośnego, w coś, co niema w sobie nic z ideału i nic z piękna, jakie powinno być jej udziałem. Wina obciąża tu równomiernie obydwie strony. A jednak, jako kobieta mówię śmiało i zdecydowanie, że prócz wypadków znamiennych, gdzie najlepsza ludzka wola nic poradzić nie zdoła, całokształt życia dwojga ludzi zależy od kobiety.

Mężczyzna kładzie podwaliny, kobieta buduje gmach. Te podwaliny, to realne wartości, gmach wzniesiony na nich, to piękno i szczęście, to uroda życia.

Gdy mnie pierwszy okres zainteresowania i uniesienia, mężczyzna odchodzi spokojnie do swego domu życiowego, wieszając na drzwiach małżeńskiej komnaty tabliczkę ze znamienym napisem: „Wiesz, że cię kocham“. Nie wie on jednak jednego. Kobiecie sama świadomość nie wystarczy nigdy. Bez lekkiej piany na kielichu życia, który do ust niesie, zwiędnie fizycznie i moralnie, zwątpi w siebie, zgaśnie, albo... poszuka uroku gdzieindziej. Szczesliwe te, którym pustkę zapełni praca. Jakiś talent — owoce którego starczą za barwną plamę, zawód, co daje zdrowy trud i wewnętrzny spokój, idący zawsze w parze z wydajną pracą. Ale cały legjon tych, którzy jedynym przydziałem życiowym jest „ich wspólne bytowanie“, jej i jego, które są prostolinijne, etyczne, wierne, które nie sięgną po nic, bo ramię ich

jest zbyt krótkie, lub za słabe, te biedne, co wypatrują uśmiechu na kochanych ustach, jak promienia wiosennego słońca, znużone, spracowane, zmęczone jednostajną szarzyzną życia, całą swoją przytłumioną kobiecością, żebrzą o wyniesienie ich do godności kwatu, którego woń i czar są krasą czyjegoś życia. One wszystkie w promieniu umiętne kochania rozkwitłyby wdziękiem i radością. Te, które zamordowano etykietą, głoszącą niezaprzeczoną, ale suchą prawdę: „Wiesz, że cię kocham”, są niczem rośliny południowe wsadzone gdzieś pod mrocznym murem, w klimacie, co im niesie śmierć i zagładę, te wszystkie, których kochać nie umiano.

Bo kobieta bez domieszki uroku, co przewija się przez jej życie, niczem barwna nitka, wiecznie, jak kwiat bez słońca. Gdyby mężczyzna postarał się przeniknąć i zgłębić jej naturę, zrozumiałby łatwo, że to najważniejsze, harmonja, trwałość szczęścia, uśmiech ust nieraz tak szczerze drogich, zależne jest od rzeczy łatwych i małych w porównaniu z wielkimi środkami, po jakie nieraz sięga. Trochę kadzidła, kropla haszyszu domieszana do napoju dnia codziennego, to, czem tak łatwo i obficie szafują w stosunku do kobiet obcych, a co jest niezaprzeczonem podłożem uroku w stosunku mężczyzny do kobiety, staje się trwalszem i silniej przykuwającym ogniwem, niż wypróbowana miłość, poświęcenie i wierność, na którą za nasze liczyć można. A my? My tak nieraz kapryśne, niewyrozumiałe, małe wobec ciężaru i wagi życia, żadne wobec ogromu ponoszonego dla nas trudu, nikłe w obliczu odpowiedzialności, jaką na barki towarzysza naszego kładzie życie, czyż wina nasza w stadłach, gdzie rozdźwięk i chłód niweczą szczęście, jest żadna? Czy nie po to dusze mamy rzyby harfy eolskie, aby drgały zrozumieniem i tkliwością, wyzbyły się małych uraz, wzniosły ponad poziom? Czy życie nasze i jego nie poszłoby prostszą drogą, gdybyśmy sobie wzięły za maksymę, że miłość czyni cuda, że harmonja jest kolebką najwyższego dobra, radości życia, bez której wszelka zdrowa i cenna twórczość zanika, a pasmo dni naszych staje się mdlą vegetacją.

Jakże łatwem byłoby zadanie zdrowego i prostego ujęcia stosunku mężczyzny do kobiety i odwrotnie, gdyby nie ta zasadnicza różnica psychiki,

ten punkt zwrotny w życiu dwojga ludzi, punkt, który u mężczyzny jest tłumikiem, u kobiety rozbudzeniem uczuciowości. Bo w najwzrostniejszem wypo wiedzeniu się mężczyzny dla duszy kobiecej pozostanie zawsze jeszcze niedomówienie, które tak często uzewnętrznia się tęsknem westchnieniem:

„W ramionach Twoich taka jestem samotnica...”

Jakaż nam przypada w tym zawiłym problemacie rola, jeżeli chcemy rozwiązać go z korzyścią dla stron obu?

Przedewszystkiem starać się wyżyć zbytniej naduczuciowości, co zamęcza i nas i tych, z którymi współżyjemy, potem doceniając rolę i ważkość uczucia w życiu, nie stawiać go jednak na miejscu tak poczesnem, żeby zasłoniło sobą wszystko inne. Dalej sądzić sprawiedliwie siebie i jego, tylko siebie surowo; a jego z domieszką macierzyńskiej pobłażliwości. Wystrzegać się jak najgorszego zła przekreślenia i unicestwienia swojego ja, jest to niebezpieczna droga, na której zazwyczaj ciężkie stopy wdeptują nas w szary pył bezpowrotnie. Dawać dużo, ale żądać też nieustępliwie, choć rozumnie i w granicach sercem i etyką zakreślonych. W współżyciu ludzi nic tak prędko i tak podstawowo nie demoralizuje, jak zbytnia pobłażliwość i pasywność, czy stosunek jednostki do jednostki, czy to duchowy, czy moralny, czy materialny.

Początki są zawsze bardzo trudne. Zanim się tych dwoje żyje, zanim zaczną iść przy sobie równym opanowanym krokiem, muszą przejść przez bolesną duchową wiwisekcję. Rozum wielki zamyka się jednak w tem, aby z każdej ciężkiej chwili wynieść okruczeństwo doświadczenia, który będzie podwaliną pod przyszłe trwałe porozumienie.

I jeszcze jedno najtrudniejsze, najtrudniejsze zważywszy na to, że wchodzimy w życie zazwyczaj pełne szlachetnych, szczerych porywów. Trzeba umieć mądrze postępować. Nieopanowane odruchy uczucia, najwznioslejsze nawet, będą niczem na szali naszego wspólnego życia, wobec tego postępowania, którem natury nasze, impulsywne, brzydzą się nieraz i... wobec domieszki, maleńkiej domieszki tej najdoskonalszej w skutkach, mądrej polityki niewieściej.

N-ska.

NAJWAŻNIEJSZE WSKAZÓWKI TENNISOWE DLA POCZĄTKUJĄCYCH

Sport tenisowy zaczyna coraz szersze zakreślać kręgi w Polsce. Specjalnie garną się do tego sportu panie. Niema w tem nic dziwnego, jeśli zważymy, że sport ten daje masę przyjemności, posiada przytem duże walory zdrowotne i estetyczne.

Wbrew utartemu do niedawna, powszechnie panującemu u nas przekonaniu, że tenis jest sportem wyłącznie ludzi bogatych, sądzimy, że przeciwnie—posiada on wszelkie dane, aby stać się w Polsce sportem popularnym, dostępnym zarówno średniozamożnym środowiskom miejskim jak wiejskim. Dziś wiemy już, że wyekwipowanie tenisowe nie przekracza sumy 100 złotych, że plac tenisowy niewielkim kosztem powstać może. Przykład Ameryki, gdzie tenis jest rzeczywiście sportem szerokich warstw społecznych, przekonywa nas, że w podobnym kierunku i my pójść moglibyśmy.

Niema chyba człowieka, który zobaczywszy raz przynajmniej rozgrywkę tenisową, nie zapragnąłby sam sport ten uprawiać. Rozumiemy, że częstokroć na przeszkodzie zrealizowania zamiaru tego—stoi przedewszystkiem brak odpowiednich wskazówek, odnośnie placu tenisowego, rakiety, zasad gry i t. d. Pragnąc tedy trudności tego rodzaju usunąć—w artykule niniejszym, właśnie w chwili obecnej, będącej progiem sezonu, podamy w krótkości szereg uwag i wskazówek, które każdemu z początkujących przydać się mogą.

Zacniemy od podstaw—placu tenisowego.

Place tenisowe otwarte (bywają kryte) są trojakiego rodzaju: ziemne, betonowe i z murawy. Najbardziej praktycznym i najczęściej u nas spotykanym jest pierwszy z wymienionych rodzajów,—bo

iska ziemne. O budowie tego typu boiska mówić więc będziemy.

Wybierając teren na boisko, pamiętać trzeba, że winno ono być położone w kierunku północno-południowym. Wymiar (z wypadami) 19×37 m. Na wybranym terenie należy wykopać ziemię do głębokości 20–25 cm. Wklęsłość stąd uzyskaną należy wypełnić gruzem, tłuczoną cegłą, lub tłuczonymi kamieniami do wysokości 15 cm. Na tę warstwę gruzu — należy położyć 10 cm. warstwę żużli, uważając, aby grubsze kawałki szły na spód, drobniejsze na wierzch dla wyrównania szczelin. Po dokonaniu powyższego — należy boisko połać wodą i kilkakrotnie zwalcować ciężkim walcem (200 kg). O ile przy walcowaniu utworzą się na boisku nierówności, miejsca wklęsłe należy zasypać miałkiem żużlami. Następnie posypujemy boisko cienką (2 cm.) warstwą dobrze przesianej i suchej gliny, poczem znowu połać wodą i walcować, powtarzając czynność tę kilka razy.

Po wyschnięciu gliny można przystąpić do położenia ostatniej warstwy, nawierzchni. Nawierzchnia składa się zwykle z $\frac{2}{5}$ miałkiej, na sucho przesianej gliny, oraz $\frac{3}{5}$ jak najdokładniej przesianego żwiru. Po zmieszaniu obu tych materiałów nakładamy mieszankę na boisko grubości 2 cm., w ten sposób, abyśmy otrzymali absolutną równinę. Przez kilka dni trzeba starannie walcować boisko w stanie wilgotnym, poczem plac jest gotowy do gry.

W chwili, gdy mamy już plac tenisowy, możemy zatroszczyć się o wyekwipowanie. Myślimy przedewszystkiem o rakiemie i pantoflach. Na rakiemie — lepiej nie oszczędzać. Znacznie lepiej kalkuluje się droższa rakietka, aniżeli tańsza. W cenie mniej więcej 70 złotych otrzymać można dobrą angielską, lub szwajcarską rakietkę. Rakietka powinna być dobrze zrównoważona, rączka rakiety musi być dobrana do wielkości dłoni zainteresowanej osoby. Jeśli chodzi o ciężar rakiety, najbardziej odpowiednimi dla pań są № 13 i 13½. Rakietka cięższa będzie zbyt ciężką rękę.

Podwójne ostrunowanie środka rakiety jest godne polecenia. W celu odpowiedniego konserwowania rakiety — należy trzymać ją stale w prasie. Jeśli rakietka zmoknie, należy ją bardzo starannie wysuszyć kawałkiem miękkiego materiału. Ponadto, w okresie nieużywania rakiety, smarować ją należy tłuszczem, w okresie gry — lakierem. Oba te środki nabywać można w sklepach sportowych.

Posiadając rakietę — możemy zatroszczyć się o ubranie.

Przedewszystkiem pantofle. Powinny być one białe płócienne, o podeszwie bądź sznurkowej, bądź gumowej, bądź skórzanej, bez obcasów. Ubranie, najlepiej biała płócienna sukienka, ewentualnie bluzka i spódnica, nie wywierające najmniejszego ucisku na ciało. Jeśli dni są nieco chłodne, nakładać biały, lub kolorowy sweater. Głowę, nakryć miękkim kapelusikiem białym, fezem, lub przytrzymać włosy opaską.

Dłonie w czasie dłuższej gry posypywać talkiem, aby uchronić je od pęcherzy i zwilgotnienia, co utrudnia silne trzymanie rakiety.

Możemy teraz przystąpić do krótkiego omówienia zasad gry.

W tenisa grać może jedna, lub dwie pary osób.

Plan boiska dla gry pojedynczej (jedna para) przedstawia się w sposób następujący:

Bez wypadów boisko jest prostokątem o długości 23,71 m. i szerokości 8.23 m. Przedziela je pośrodku siatka, zawieszona na sznurze, lub linie metalowej, przeciągniętej przez wierzchołki dwóch słupków (1.06 m. wysokości), stojących w odległości 0.915 m. nazwanych obydwóch boków boiska. Wysokość siatki w środku boiska wynosić winna 0.915 m. Aby utrzymać tę wysokość można podprzeć siatkę pośrodku drewnianą podpórką.

Linje, ograniczające końce boiska, nazywają się linjami głównymi, linje okalające boki — linjami bocznymi. Po każdej stronie siatki w odległości 6.40 mtr. przeprowadzone są linje podania.

Przestrzeń po każdej stronie siatki pomiędzy linją podania i linjami bocznymi podzielona jest na dwie równe części, zwane polami podania, przy pomocy środkowej linii podania 5 ctm. szerokiej, przeprowadzonej równoległe do linii bocznych, w połowie odległości między niemi. Linje smarować można wapnem, lub posypywać specjalnym proszkiem, jaki nabyć można w sklepach sportowych.

Dla gry podwójnej (dwie pary osób) — boisko zostaje poszerzone o 1 m. 37 z każdej strony, na tej też odległości należy przeprowadzić drugie zewnętrzne linje boczne. Miejsca pomiędzy temi bocznymi linjami nazywamy korytarzami, które w grze pojedynczej nie liczą się.

Ogólne zasady gry pojedynczej. Gracze stoją po przeciwnych stronach siatki. Gracz, który pierwszy wyrzuca piłkę, nazywa się podającym, gracz z przeciwnej strony — przyjmującym.

Podanie piłki wykonywa się w sposób następujący: podający ręką wyrzuca w górę piłkę, poczem uderza ją rakietą. Uderzona piłka winna przejść ponad siatką i upaść na pole podania, poczem może być odbita przez przeciwnika. Piłki podaje się raz na prawe, raz na lewe pole podania. Jeśli podana piłka uwięźnie w siatce, lub upadnie poza polem podania — uważana jest za złą. Podającemu przysługuje prawo podania drugiej piłki na to samo pole podania. Jeśli i ta jest złą — podający przegrywa punkt, — poczem winien podawać piłkę na drugie pole podania. Jeśli podający dał dobrą piłkę, przeciwnik winien odbić ją na boisko przeciwnika, poczem piłka może być odbijana aż do chwili, kiedy nie uwięźnie w siatce, lub nie upadnie na ziemię poza linjami bocznymi i głównymi. Wówczas ten, który dał złą piłkę, przegrywa punkt.

Jeśli gracz przegrywa punkt — wówczas przeciwnikowi liczy się jeden punkt wygranej, który zwie się 15. Przy wygraniu drugiego punktu — gracz posiada 30, przy wygraniu trzeciego punktu — 40, wreszcie przy wygraniu czwartego — kończy się okres gry, zwany gem. Poczem podawanie skutecznia w następnym gemie przeciwnik.

Jeśli obaj gracze wygrali po 3 punkty w danym gemie, to wynik taki zwie się równowagą.

Następny punkt wygrany przez jednego z graczy — daje mu przewagę, o ile ten sam gracz weźmie następny punkt — w grywa gem. O ile natomiast drugi gracz weźmie ten punkt — znowu mamy równowagę i tak dalej, dopóki jeden z graczy nie wygra dwóch kolejnych punktów, następnym po równowadze.



Gracz, który pierwszy wygra sześć gemów — wygrywa seta. O ile obaj gracze mają po 5 setów — wówczas jeden z nich musi mieć o dwa więcej. Jeśli obaj mają po 6, 7 i t. d. set trwa dopóty, dopóki jeden z graczy nie będzie miał o 2 gemy więcej od swego przeciwnika.

Partja gry w tenisa (match) składa się dla pań najwyżej z 3-ch gemów. Jeśli dwa pierwsze gemy wygra ta sama tenisistka — partja jest skończona, trzeci set nie jest rozgrywany.

Gracze zmieniają strony boiska po każdym secie, oraz po wszystkich nieparzystych gemach (1, 3, 5 i t. d.).

W grze podwójnej — podawanie piłki uskuteczniane jest kolejno przez wszystkich uczestników gry. Inne zasady gry — jak dla gry pojedynczej, z tem wszakże, że uwzględnia się większe wymiary boiska (korytarze).

Tennis jest sportem niezwykle precyzyjnym, dlatego też wymaga długiego i wytrwałego treningu.

Rakieta trzymać należy za koniec rączki, nigdy

pośrodku. Przytem rakieta w dłoni powinna być tak trzymana, jak szabla!

W tenisie znamy cały szereg rodzajów uderzeń. Podstawowemi — są uderzenia piłki po jej odbiciu z prawej i lewej strony*). Piłka powinna przechodzić tuż nad siatką, powinna być mocna i długa. Początkujący — o ile chce dojść do poważniejszych rezultatów, powinien początkowo zrezygnować z właściwej gry, natomiast ustawicznie trenować, pracując oddzielnie nad poszczególnemi rodzajami uderzeń.

Należy gorąco polecić — zasięganie rad i uwag właśnie w początkach u dobrych tenisistów.

Jeśli przewyciężymy pierwsze trudności, jeśli przez jakiś czas trenować będziemy cierpliwie, uważnie i wytrwale, dojdziemy wkrótce do punktu, od którego gra w tenisa staje się prawdziwą przyjemnością.

M.

*) Przytem uderzenie należy wykonywać całym ramieniem, nie zginając ręki w łokciu, uderzając piłkę rakieta — prowadzona od dołu.

PARĘ SŁÓW O MOLACH

Straszna to plaga, w mieszkaniach zwłaszcza miejskich szkodniki nie do wytrapienia, które z pogryzionych rzeczy robią sobie gniazdka w formie długich walcowatych rurek, w których ukrywają się i nawet z niemi z miejsca na miejsce przechodzą. Ogromna jest ilość odmian mola, maleńkiej ómy nocnej, której gąsienice, nim dojdą do stanu poczwarki, gryzą wszystko, co napotkają, zaczawszy od liści, roślin, owoców, nasion, zasuszonych owoców, wypchanych zwierząt, futer, ubrań, sukna, skóry, nawet gazy, jedwabie i wyrządzając często niepowetowane szkody. Nic w tem niema dziwnego, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że znanych odmian moli jest zgórą dwieście, a wiele nieznanych! Z tych, które znamy, najwięcej dają nam się we znaki cztery.

Są to mol kobiercowiec, mol sukiennik, mol suknowiec i mol futrowiec, które w każdym mieszkaniu znajdują się. Samce ich w Marcu i Czerwcu składają drobnutkie ledwie dostrzegalne jajeczka na futrach, sukna, ubraniach, meblach, dywanach etc. Gąsieniczki, które się wylęgą rozchodzą się i niszczą wszystko, co napotkają. Najglówniejszym sposobem uniknięcia szkód jest chowanie i szczelne zamykanie rzeczy, a także częste trzepanie i czyszczenie. W marcu i maju wietrzenia unikać trzeba, ale czyścić i trzepać rzeczy trzeba przynajmniej raz na miesiąc. Poza szczelnem zamknięciem konieczne trzeba jeszcze przesypywać i przekładać ubrania niemilami dla moli zapachami, a więc, gałkami konopi, których odoru specjalnie nie znoszą. Trzeba gałki konopi porozwieszać w szafach, wiązki ich poustawiać na dole, połupanami kawałkami łodyg przesypać rzeczy w szkryniach, wyłożwszy je ze spodu, z boku i nakrywszy je z wierzchu kawałkiem materiału z konopi. Można także wylać dno paki olejkim terpentynowym, uważając jednak, aby nie dostał się do rzeczy, zwłaszcza do futer,

bo więcej im zaszkodzi tłustość olejku, niż pomoże jego zapach. Włos futrzany zlepi się i świecić się będzie, tak jakby go kto szmalcem wysmarował i długo nie da się, ani rozczesać, ani wysuszyć. Można też do szaf, które rzadko bywają otwierane, wstawić buteleczkę odkorkowaną z olejkim terpentynowym.

Pożyteczne również jest rozpinanie pluskiewkami w szafach, a przekładanie w szkryniach rzeczy, arkuszami papierów, nasyconymi smołowcem, mole nie znoszą jego odoru, który ma tę wyższość nad innymi stosowanymi przeciwko nim środkami, że ulatnia się prędko i nie daje się tak nieprzyjemnie we znaki, jak np. naftalina. W starych zapiskach znalazłam nazwisko płynu „liqueur vestimentale de Dupleix“, sprowadzonego niegdyś z Paryża. Fabrykant tego płynu mieszkał niegdyś na ulicy St. Martin Nr. 113, ale czy komu przekazał swoją tajemnicę nie jest mi wiadomem, na miejscu prędzej można by się o to rozpytać. Środek miał to być nieomylny, bo czyż inaczej byłoby możliwem przechowywać tyle cennych rzeczy, futer i ubrań, jak to dawniej robiono, gdyby nie posiadano niezawodnych środków na mole.

Niestety nam zamiast środków przeciwko, pozostały same tylko mole, które nie tylko, że nas gryzą, ale zjadają kompletnie. Ubrania dobrze jest zmyć całkowicie szmatką, maczaną w roztworze alunu, co je zabezpiecza od moli, a chroni od ognia. Radykalnym i nieomylnym środkiem są wiórki i kora Panamy, którą sypie się między rzeczy, dobrmi są smolne drzazgi, pieprz turecki w strąkach, kamfora w kawałkach, naftalina etc.

Wykadzanie szaf, kufrów i rzeczy, siarką, lub octem zaliczane jest też do pożytecznych środków, najpewniejszym jednak zawsze jest częste przeglądanie i czyszczenie garderoby.

NOWOŚCI LETNIE
NADESZŁY

Wysyłka prób i zleceń
ponad zł. 25 — bezpłatnie.

BRACIA JABŁKOWSCY
Warszawa, Bracka 25.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

ŁOPATKI CIEŁĘCE NADZIEWANE.

Ładną, białą łopatkę cielęcą przyciąć od spodu wzdłuż, aż do kości i ostrym nożykiem wszystkie kości z niej wyluzować, — kości te można użyć na jaką kwaśną, zabielaną zupę: włoską, cytrynową, szczawiową...

Łyzkę kopru i pietruszki siekanej, (mogą być suszone), utrzeć z 10 deka masła, jednym jajkiem, szklanką bułeczki tartej, wlać tyle rosołu, albo wody, aby farsz nie był zbyt suchy, osolić do smaku, dodać dziesięć pieprzu, posmarować rozplataną cielęcą, zwinąć mocno w rolkę, obwiązać gęsto grubą nitką. Ułożyć na brytwannie, osolić, posmarować masłem, lub świeżym szmalcem i piec pod blachą, polewając na razie tłuszczem, a potem wodą i sosem, który się przy pieczeniu formuje. Po trzech kwadransach jest zwykle upieczona. Pokrajać w cienkie, ładne plastry i podać z oddzielnym ugotowanym ryżem, czy makaronem. I jeden i drugi polać sosem od pieczenia i osypać ostrym serem. Do tego czerwona kapusta, lub zielona sałata ze śmietaną.

POTRAWKA Z RAKÓW.

Na sześć osób wziąć pół kopy dużych raków, ugotować je we wrzątku mocno osolonym, dodając wiązkę kopru, lub łydę kopru (listki zostawić do nadzienia), trochę pietruszki i nawpół przekrajaną cebulę. O ile dzień jest postny, smak ten przechować na sos, w dni mięsne smaczniej jest sos robić na rosolu.

Pół kilo kaszki drobnej krakowskiej przetrzeć jajkiem i ususzyć. Poczem ugotować tę kaszkę na sypko z dodaniem tłustego rosołu, lub łyżki masła. Raki oczyścić, nóżki i szyjki przechować oddzielnie. Dwanaście najładniejszych skorupki pozostawić do nadzienia, resztę użyć razem ze skorupkami od nóżek i łapek na masło, to jest utłuc wszystkie starannie i zasmażyć z dwoma łyżkami (20 deka) masła, podlać rosołem, lub wodą, precedzić przez gęste sitko, jak najmocniej wycisnąć, aby całe masło czerwone wydostać, suche skorupki wyrzucić.

Garść koperku i pietruszki siekanej, łyżkę masła, duże jajko, lub dwa małe, zmieszać z filiżanką bułeczki tartej, osolić, nadziać tem skorupki pozostawione, ugotować na wodzie, lub w rosolu. Z czerwonego masła rakowego, kopiastej łyżki mąki pszennej, smaku z wygotowanych skorupek raków, lub też rosołu zrobić zawiesisty sos, dodać pół filiżanki najlepszej śmietany raz tylko razem zagotować. Na środku półmiska ułożyć sypką kaszkę, obłożyć wokoło nadziewanymi skorupkami, na kaszce ułożyć oczyszczone szyjki i nóżki, polać obficie sosem, resztę sosu podać w sosjerce. Wyborna, kolacyjowa potrawa, wymagająca tylko nieco pracy.

ZUPA SZPARAGOWA.

Wszystkie szparagi połamane, krzywe, cienkie, drobne można użyć na zupę. Łebki szparagów pokrajać i przechować oddzielnie. Same szparagi oczyścić starannie z włókien i pokrajać w jak naj-

drobniejszą kostkę. Ugotować na sześć osób około dwóch litrów rosołu z kostek cielęcych, dróbek kurzych, lub chociaż smak dobry z włoszczyzny. Odcedzić, włożyć w to szparagi pokrajane i gotować, aż zmiękną najdoskonalej, przefasować przez sito, włożyć łebki szparagowe, pogotować kilka minut, aż zmiękną, co zwykle bardzo prędko następuje. Dobrą łyżkę świeżego masła włożyć w zupę, dodać pół szklanki mąki pszennej rozbitej zimnym rosółem, zagotować raz jeden.

W wazie przygotować szklankę słodkiej śmietanki i trzy jaja surowe, rozbite mocno razem, wlać parę łyżek zupy i wymieszać starannie, poczem wlać resztę zupy, od razu wlewając wrzącą ścięłoby się białka na długie nici. Do tej zupy podaje się gęzanki przysmażane z bułki, lub wszelkiego rodzaju paszteciki z mięsem, móżdżkiem, ryżem, z jajami i t. p.

RZECZY NAJPROSTSZE

Kotlety siekane. Niema chyba potrawy bardziej rozpowszechnionej od kotletów siekanych, a jednak jak rzadko są one smacznie przyrządzone. Można je robić z wołowiny, baraniny, wieprzowiny, cielęciny, drobiu i zwierzyny, a nawet z każdego gatunku ryb.

Będę tu jednak mówić tylko o tych najprostszych z wołowiny. Chcąc, aby kotlety były smaczne, należy je robić z miękkiego mięsa, kupując więc mięso mielone, należy patrzeć, co rzeźnik kładzie w maszynkę, gdyż mielone żyły i ochłapy na nic się nie przydadzą. Na pół kilo wołowiny należy przy młeniu dodać dziesięć deka łożu, lub też dodać czwartą część przerastałej wieprzowiny. Na pół kilo mięsa namoczyć w wodzie dwie bułeczki warszawianki, czyli 10 deka bułki, wycisnąć jak najstaranniej, jeszcze raz przepuścić z mięsem przez maszynkę, pięć deka (jedną dużą) cebuli usiekać i przesmażyć w herbatniej łyżeczce masła, lub szmalcu i dodać do mięsa. Wbić jedno duże jajko, w braku jaj, zimą można włożyć jeden surowy utarty na tarce kartofel, co jest mniej smaczne, ale dodaje tak, jak jajko, spoistości mięsa.

Latem dodać łyżeczkę siekanego koperku, zimą majeranku, osolić, nieco popieprzyć i wyrabiać masę tak długo, aż od ręki odstanie. Zrobić z tej ilości osiem zgrabnych kotletów, utarzać w mące zmieszanej po połowie z bułeczką. Na patelni rozpuścić obficie masła, lub świeżego szmalcu, włożyć kotlety, zrumienić z jednej strony, przewrócić na drugą i przykryć pokrywą, lub miską patelnię, przez co kotlety stają się pulchne i soczyste. Gdy się dobrze z obu stron zrumienia, wstawić na kwadrans w piecyk, aby dobrze doszły wewnątrz, gdyż kotlet nie powinien być surowy. W braku pieca, postawić zawsze przykryte z wierzchu, na zakrytej fajercie, lub zmniejszonym ogniu fajerki gazowej i dosmażać tak przez minut dwadzieścia na zupełnie wolnym ogniu. Podaje się je z wszelkiego rodzaju jarzynami, gotowanymi, smażonymi, tłuczonymi kartoflami, kaszą, makaronem, grochem, kapustą, ogórkami, mizerją, lub sałata.

Pani Elżbieta.

„MOJ KREM“ i „MÓJ PUDER“ HIGJENICZNY WE WSZYSTKICH ODCIENIACH

DR. MED. J. ŚWITALSKA.

SKŁAD GŁÓWNY TOW. AKC. KARPIŃSKI — ELEKTORALNA 35

KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

Pani M. J. Żołyńia.

Tak areokarja, jak palma daktylowa potrzebują ziemi próchnicowej, wrzósowej z liściastą.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

J. z Lubelskiego — stała prenumeratorka.

Sądząc z listu Pani powodem czerwienienia się noska jest odmrożenie, a blyszczenia twarzy łojotok. Należy twarz myć na noc gorącą wodą z dodatkiem boraksu Eunice, wyrobu Karpińskiego, po osuszeniu wytrzeć spirytusem salicylowym 2%.

Na rano myć twarz wodą letnią, wetrzeć odrobinę kremu Dr. J. Świtalskiej „Mój Krem” i zapudrować pudrem higienicznym „Mój puder”. Poza tym nie można tak się denerwować z przyczyn stosunkowo błahych. Drobne dolegliwości usunąć się dadzą, a nerwy zniszczone pozostają na zawsze. Zdrowie trzeba zachować na poważniejsze przeżycia. Cena „Mego Kremu” 6 zł., „Mego Pudru” 3.50, perła 1 zł.

M. Ś.

Na gęsią skórę zastosować należy kąpiele zmiękczające skórę — a więc dodawać do wody boraks toaletowy. Następnie masować całe ciało olejkami migdałowymi, zmieszonym z odrobiną spirytusu, lub wodą kolońską.

Gdyby ten środek był za słaby, smarować kilka dni zrzędu:

Resorcini aa.
Ac. salicyl an. 0,6
Pasta Zinci sulf. 20,0

Ds. zewnątrz na noc smarować 10 dni, rano zmywać oliwą i pudrem przypudrować.

Wizytę można zamówić przed południem. W razie zadrażnienia skóry ponowić „Mój Krem” i „Mój Puder”.

Zośce z Wołyńia.

Zupełnie się z Panią zgadzam, że skutki odmrożenia rąk mogą być bardzo przykre. Trzeba więc leczyć jak najstaranniej. Przedewszystkiem moczenie w gorącej wodzie, naprzemian w zimnej i smarowanie na noc Syberyną wyrobu Karpińskiego. Preparat ten jest b. dobry i powinien Pani bezwarunkowo pomóc.

E. Z.

Owarogen może pani dostać we wszystkich większych aptekach, wyrób Spiessa, Klawego i innych. Wyroby krajowe nie ustępują zagranicznym.

Dolegliwości skóry Pani bez zobaczenia leczyć nie można.

ZARARAKI (MOJE ZIOŁKA NA SCHUDNIĘCIE).

Na cały szereg zapytań na temat ziółek na schudnięcie podaje Sz. Paniom ogólną odpowiedź.

Moje ziołka na schudnięcie będą w sprzedaży w końcu kwietnia, opatentowane pod nazwą „Zararaki”; wyrabiać je będzie firma Tow. Akc. Fr. Karpiński w Warszawie. Do każdego 10 tabletek będzie dodany sposób użycia. Nabywać można będzie minimum 10 tabletek, cena każdej 1 zł.

Obecnie wysyłam ziołka tylko w przypadkach bardzo pilnych, za zaliczką pocztową. Przy zamawianiu proszę podawać wagę i wysokość danej osoby w centymetrach, oraz dokładny adres.

Nie wolno tracić na wadze więcej niż 1 kg. miesięcznie, żeby nie powstały zmarszczki. Należy stosować wszystkie wskazówki podane przy picciu ziółek, inaczej leczenie nie będzie miało skutku. Nie należy łudzić się, że po wypiciu 10 tabletek (codzień jednej) osiągnie się rezultat pożądaný. Pić ziołka trzeba od 2-3 miesięcy, powtarzać leczenie 2-3 razy do roku, ażeby utrzymać osiągniętą równowagę.

Piegowatej.

Piegi występują właśnie najbardziej na wiosnę. W najbliższych miesiącach opatentuję mój wynalazek, który tak doskonale oczyści twarz z piegów. Skoro mój środek przeciw piegom będzie już opatentowany i w sprzedaży, zawiadomę Panią w „Bluszczu”.

Lusia M.

Puder Florentine jest bardzo mało znany, nie mogę odpowiedzieć, czy można go używać bez obawy. *Dr. J. Świtalska.*

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 19

401. 402. Suknia i odpowiednia pelerynka z kreponu białego, haftowana, lub malowana w barwny des. n. Dół objęty kolorową plisą.

403. Palto letnie z czarnego rypsu

404. Suknia z tricoline koloru bois de rose, z białym kołnierzykiem i żabotem.

405. Płaszczki z haftowanym przodem dla dziewczynki dwunastoletniej.

406. Płaszczki z piaskowego sukna dla dziewczynki czternastoletniej.

407. Suknia z surowego jedwabiu w kratę, kamizelka z jedwabiu gładkiego.

408. 409. Sukienka i odpowiedni żakiecik dla dziewczynki siedmioletniej.

410. Płaszczki kolorowy dla dziewczynki ośmioletniej.

411. 412. Sukienka i odpowiedni żakiecik dla dziewczynki siedmioletniej. Sukienka biała, haftowana w wisienki. Żakiecik haftowany, lub z kreponu deseniowego.

413. Sukienka dla sześciolatniej dziewczynki, przybrana wstążeczkami.

414. Suknia z jasnym przodem z popeliny, lub crêpe marocain.

415. Sukienka z dymki granatowej, przybrana barwnym galonikiem, dla dziewczynki dziesięcioletniej.

416. Płaszczki z dwóch materiałów dla dziewczynki siedmioletniej.

417. Suknia z georgette'y, przybrana haftem.

418. Suknia z tafty i georgette'y karbowanej, galon szyty paciorkami.

419, 420, 421. Modne fasony kapeluszy.

422. Bluzka z deseniowego kreponu. Kołnierzyk biały z falbankami z walansjenki.

423. 424. Modne fasony spódnic.

425. Bluzka z tricoliny, szlaczki haftowane.

426. Wzór na poduszkę, haft na tiulu.

427. Medaljon do poduszki, haft kolorowy.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dziecinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr. są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszcza” w ciągu roku 24 i 25 i których pozostała niewielką ilość możemy odstąpić naszym Czytelniczkom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran —	zł. 2,50,
poduszka — serwetka —	zł. 1,50,
drobne desenie —	gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu” nie wysyłamy.



MYDŁO W PASZCIE NISZCZY CEMALINĄ



DENTOLIN

NAJLEPSZA PASTA DO ZĘBÓW
BEZ DODATKU MYDŁA

WYD. AKC. **Fr. KARDPIŃSKI** W WARSZAWIE



NAJA TRIPUDIANS

(ŻMIJA EGIPSKA)
ANNIE VIVANTI

JEST TO: „Mocno napisana i kosekwentnie zbudowana powieść, wyświetlająca wiele problemów etycznych, niepokojących dzisiejsze społeczeństwo.“

Z. RABSKA (Kurjer Warszawski.)

Cena zł. 3 — Z przesyłką poleconą 3.50.

WSZYSCY ODBIORCY NASZEGO DZIAŁU KSIĘGARSKIEGO

POSIADAMY NA SKŁADZIE

Conrad, Fantazja Almayera	zł. 2.50
„ Smuga cienia	1.95
„ Sześć opowieści	1.95
Diekens, Opowieść wigilijna	—95
Dumas, Dama kamelijowa	—95
Dygasiński, Gody życia	2.95
Farnol, Na szerokiej drodze	1.95
Gallet, Przygody C. de Bergerac	1.90
Gomulicki, Siódme amen	—95
Grubiński, Nowele	1.95
Jokaj, Atlantyda	—95
Junosza, Na bruku	—95
Kraszewski, Ost. z Siekierzyńskich	—95
Leroux, Upiór w operze	1.90
Ligocki, Powrót Beatryczy	—95
London, Odszczepienie	1.95
„ Serce kobiety	—65
„ Wilk morski	2.85
„ Wyga	—95
„ Zew krwi	—95
„ Prawo białego człowieka	—95
Sieroszewski, Ol - Sani - Kisań	—95
Słoński, Maj ostatni	1.—
Tetmajer, Anioł śmierci	1.90
„ Księżniczka Metella	2.—
Twain, Król i Osioł	—95
Wells, Wehikuł czasu	—95
Wierzyński, Pamiętnik miłości	6.—
Winawer, Lepsze czasy	—95
„ Znajomek z Fiesole	—95

BIORĄ UDZIAŁ

W LOSOWANIU

PREMJUM!

—
KAŻDE, WPŁYWAJĄCE DO
NASZEGO DZIAŁU KSIĘGAR-
SKIEGO, ZAMÓWIENIE OTRZY-
MUJE KOLEJNĄ BIEŻĄCĄ
LICZBĘ TRZY, WZGLĘDNIE
DWIE OSTATNIE CYFRY
GŁÓWNEJ WYGRANEJ W DRU-
GIEJ KLASIE PAŃSTWOWEJ
LOTERJI KLASYCZNEJ, OD-
POWIADAJĄCE LICZBIE ZA-
MÓWIENIA DAJĄ ODBIORCY
TEGOŻ

PREMJUM!

W POSTACI
PIĘKNIE WYDANEJ
MONOGRAFJI

CZAJEWSKIEGO

KRAKÓW

NA KREDOWYM PAPIERZE
Z ILUSTRACJAMI
KONTO P. K. O. 3.700

Z BELETRYSTYKI RODZIMEJ

Dorożyńska, Na ostatniej placówce	Zł. 10.—
Gawalewicz, Dla ziemi	6.—
„ Drugie pokolenie	6.—
Kozicka, Burza od wschodu	12.—
Miciński, Wilta	8.—
Orzeszkowa, Anastazja Bene - Nati	5.—
„ Dziurdziowie. Cham.	5.—
„ Gloria victis!	2.50
„ Nad Niemnem 2 t.	9.—
Prus, Anielka	3.35
„ Faraon 3 t.	18.—
„ Lalka 3 t.	17.—
„ Placówka (wyd. pop. 3.75)	6.—
Reymont, Chłopi 4 t. zł. 25. w opr. pł.	50.—
„ wyd. pop. 9.— w kart.	11.—
„ Pęknięty dzwon	4.80
„ Rok 1794 3 t.	24.20
Rodziewiczówna, Byli i będą	4.—
„ Dewajtis (wyd. jubileuszowe)	6.80
„ Macierz	3.—
„ Pożary i zgliszcza	4.—
„ Straszny Dziadunio	2.—
Sienkiewicz, Ogniem i mieczem 2 t.	7.60
„ Potop 3 t.	12.60
„ Pan Wołodyjowski	4.80
„ Cała trylogia w oprawie płóciennej	43.—
„ Rodzina Połanieckich 3 t.	12.—
„ Quo vadis?	4.50
Szczucka, Beatum scelus	3.60
„ Pożoga	8.—
Weysenhoff, Noc i świt	9.—
Zeromski, Międzymorze	2.50
„ Popioły 3 t. zł. 18.— w opr. pł.	27.—
„ Szyfowe prace	3.50
„ Uciekła mi przepióreczka.	3.—

Matki dbające o higienę dzieci
używają
MYDŁO HIGJENICZNE
i
PUDRY „DLA DZIECI”

Wyrobu Laboratorium Apteki
M. MALINOWSKIEGO
Warszawa, Nowy Świat 31.

177



175



**PIERWSZA KRAJOWA
FARBIARNIA I PRALNIA CHEMICZNA
JÓZEF ROTTER w Bielsku Cieszyńskim.**

Oddział: Warszawa, Niecała 10. Tel. 413-15.

Przyjmuje wszelkiego rodzaju garderobę męską, damską i dziecięcą, uniformy wojskowe i urzędnicze, ornaty kościelne itd. do czyszczenia i farbowania podług recept znanych fabryk Bielskich.

FUTRA FARBUE SIĘ I WYPRAWIA NA SPOSÓB LIPSKI. — SPECJALNY DZIAŁ CZYSZCZENIA DYWANÓW. PRANIE BIELIZNY MĘSKIEJ Z PIĘKNYM SREBRNYM POŁYSKIEM.

CENY NISKIE, WYKONANIE SZYBKIE.

Własne oddziały: we Lwowie, Krakowie, Katowicach, Sosnowcu i innych większych miejscowościach Polski.

Wydany przez nas bardzo starannie,

ZBIÓR MONOGRAMÓW

zawierający przeszło sześćset wzorów od [wykwintnych do [najsłabszych, dorównuje pod względem wykonania zagranicznym tego rodzaju wydawnictwom, a mając charakter swoisty, bardziej odpowiada wymogom domu polskiego.

Każdy, nie umiejący nawet haftować, z naszego „ZBIORU“ (ze względu na ilustrowane polecenia) skorzystać potrafi.

Za jeden monogram płacicie Panie około 2 zł; cena naszego „ZBIORU“ wraz z przesyłką pocztową wynosi tylko 5 zł.

Wysyłka natychmiastowa po nadesłaniu pieniędzy przekazem pocztowym. Za zaliczką wysyłamy tylko po otrzymaniu 1 zł. znaczkami pocztowymi.

ADMINISTRACJA „BLUSZCZU“
Warszawa, Krak. Przedm. 99.
Konto P. K. O. 3700.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE (PLAC ZAMKOWY) Nr. 99. TELEFON Nr. 239-40. KONTO CZEKOWE P. K. O. Nr. 3.700.

PRENUMERATA „BLUSZCZU“

z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie — 57 zł. 60 gr., kwartalnie — 14 zł. 40 gr.

Miesięcznie — 4,80 gr. Zagranicą — 8 zł.

Zmiana adresu 30 gr.

CENY OGŁOSZEŃ:

Na okładce: stronica $\frac{1}{4}$ — 450 zł., $\frac{1}{2}$ str. — 260 zł.,

$\frac{1}{4}$ str. — 150 zł., $\frac{1}{8}$ str. — 80 zł., $\frac{1}{16}$ str. — 45 zł.,

$\frac{1}{32}$ str. — 30 zł. Za tekstem o 50% drożej.

Wkładki reklamowe i reklamy opisowe — według umowy.